NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 1 lipca 1905 r. Nr. 27.

KRWAWY TYDZIEŃ W ŁODZI.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Walka o konstytucyę na Węgrzech: Nowy minister handlu Władysław Vörös.

Od Redakcyi.

Numerem niniejszym rozpoczynamy nowe półrocze bieżącego roku. Nie będziemy zapowiadali niczego, niech każdy numer „Nowości Illustrowanych“ mówi sam za siebie. Uznanie jakiem cieszyliśmy się dotychczas, zmusza nas do dalszej intenzywnej pracy, a że będzie ona owocną, w to wierzymy i o to starać się będziemy.

Prosimy więc o odnowienie prenumeraty na bieżący kwartał. Celem uregulowania nakładu, oraz celem uniknięcia niepotrzebnych reklamacyi, zaznaczamy, że wstrzymamy wysyłkę następnego numeru tym, którzy prenumeraty przed wyjściem tego numeru nie odnowią.

Każdy nowy prenumerator otrzyma bezpłatnie początek senzacyjnej powieści, osnutej na tle ostatnich wypadków w Królestwie polskiem, pod tytułem „BOJOWNICY“, którą to powieść drukują „Nowości Illustrowane“.

Autor tej powieści, ukrywający się ze zrozumiałych powodów pod pseudonimem, należy do najwybitniejszych polskich powieściopisarzy. Mistrzowskiem piórem kreśli on w „BOJOWNIKACH“ wspaniały obraz rewolucyi, która w roku bieżącym wstrząsła posadami caratu, a ogarnęła całe Królestwo polskie.

Prenumerata „Nowości Illustrowanych“, wynosi:

kwartalnie 4 korony
półrocznie 8 koron

Redakcya.



Walka o konstytucyę na Węgrzech: Nowy minister honwedów Franciszek Bihar.

Krwawy tydzień w Łodzi.

(Do illustracyi tytułowej).

Znowu tajemniczą ręką popchnięte, wyległy w Łodzi tłumy robotnicze na ulicę i znowu polała się krew strugami. Zarzewie rewolucyi, które już, jak się zdawało, przygasło, ustępując miejsca apatyi i bezczynności, wybuchło potężnym płomieniem, tem silniej, im dłużej gasło, jak sądzono.

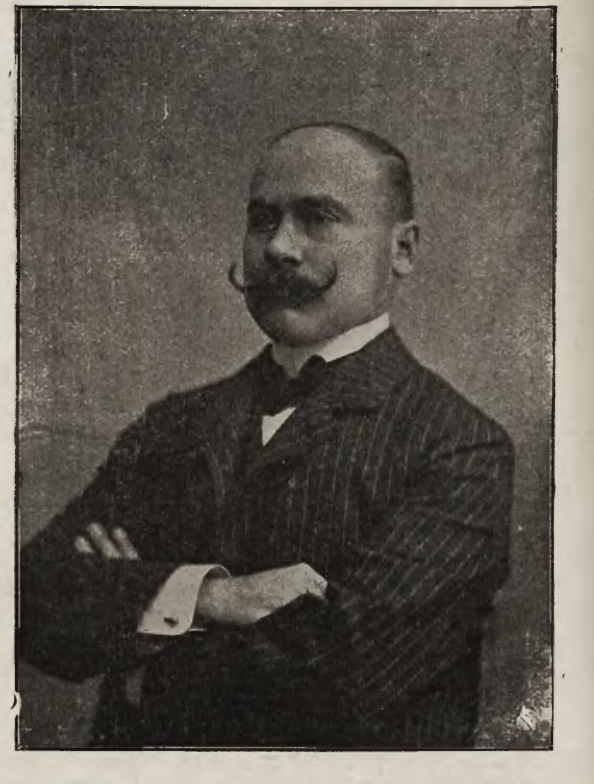
W niedzielę dnia 18 czerwca odbyła się na jednem z przedmieść w Łodzi, na Bałutach demonstracya. Wojsko i kozacy, najgorsze te posiepaki carskie strzelali do spokojnie demonstrujących tłumów. 5 osób zabito, raniono bardzo wiele. We wtorek postanowili robotnicy uroczyście pochować ofiary demonstracyi niedzielnej. Zebrał się tłum robotników, liczący około 50 tysięcy i w uroczystem



Walka o konstytucyę na Węgrzech: Nowy prezydent ministrów, baron Fejervary.

milczeniu odprowadzono zmarłych na miejsce wiecznego spoczynku. Wtedy kozacy zaczęli najeżdżać na kondukt i bić nahajkami. Ale tłum się nie rozstępował. Biorący udział w pogrzebie trzymali się za ręce w ten sposób, że cały tłum stanowił jakby jeden łańcuch. W ścisku jednak, kiedy kozacy napadli, jedna trumna zleciała z ramion niosących ją i trup nieszczęśliwej ofiary carskiej wypadł na bruk i strzaskał sobie głowę. Zastygła krew bryzgnęła na kamienie... Z rozkazu oficera dwóch sołdatów włożyło trupa do trumny, którą towarzysze wzięli na ramiona i już bez przeszkód donieśli na cmentarz.

We środę rano rozeszła się po Łodzi wieść, że dwóch żydów ranionych na Bałutach, zmarło skutkiem ran w szpitalu Poznańskich. Zebrał się więc wieczorem tłum przed szpitalem, żądając wydania zwłok. Ale trupów już nie było. Policya je uprzątnęła. Zebrani urządzili więc demonstracyjny pochód przez miasto; z czerwonymi i czarnymi sztandarami, z pieśnią rewolucyjną na ustach, wyruszył tłum do miasta. W kilku miejscach stawano i wygłaszano mowy rewolucyjne. Dopiero w obrębie 4 cyrkułu zastąpiło wojsko ulicę, a kozacy natarli z dwóch bocznych ulic: Pustej i Karola. Rozpoczęła się wtedy rzeź. Kozacy w liczbie 40 dali trzy razy salwę. Rozległy się jęki rannych, mnóstwo osób padło zabitych, krew obryzgała ulice potokiem i tłum począł się rozchodzić. We czwartek, w święto Bożego Ciała, procesya odbyła się względnie spokojnie, wieczór jednak ponowiły się zaburzenia. Poczęto stawiać barykady. Było ich coraz więcej, a składano je z pak drewnianych, z beczek z drzewa i kamieni. Czwartek minął jednak spokojnie. Dopiero w piątek około godz. 10 znowu



Walka o konstytucyę na Węgrzech: Nowy minister oświaty dr. Jerzy Lukacs.

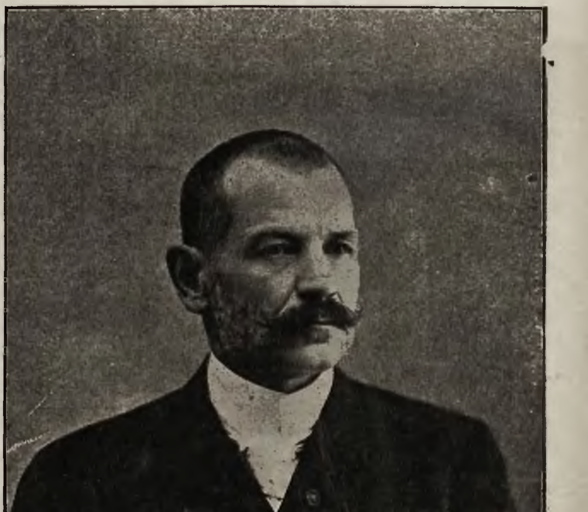
zaczęto stawiać barykady na ulicy Piotrkowskiej, dzicz carska, ubrana w szynele, poczęła strzelać do tłumu. Ulice wnet opustoszały, wojsko zaś na każdej ulicy powtarzało salwy jedna za drugą. Na każdej ulicy leżały trupy i jęczeli, wijąc się w bólach, ranni. Kto tylko oknem wychylił się na ulicę, lub wyjrzał, mierzono do niego i strzelano. Kilkanaście osób poniosło śmierć w mieszkaniach. Zabito wtedy ogółem blisko 100 osób, raniono przeszło 300. Ogółem krwawe żniwo carskich posiepaków wyniosło w tym tygodniu 2000 ofiar w zabitych i rannych.

Cyfra to straszna i włosy stają na głowie, kiedy się czyta relacye o tych dniach krwawych w Łodzi. Dni te były jednakże dowodem, że polska partya socyalistyczna, kierująca rewolucyą w Królestwie, nie ustąpiła jeszcze z pola, że nie złożyła jeszcze broni, ale walczy i walczyć będzie, dopóki nie uzyska praw człowieka. Już dzisiaj obawiają się, że rewolucya przeniesie się do Rosyi, a kiedy całą Rosyę obejmie, wtedy biada satrapom i ciemiężycielom, bo zemsta ludu jest straszna, tembardziej, że okropnie zasłużona.

Na ilustracyi naszej przedstawioną jest chwila, kiedy wojsko rzuca się na barykady, wznoszone na ulicy Piotrkowskiej w ostatnim dniu krwawej tragedyi łódzkiej, to jest w piątek.

Walka o konstytucyę na Węgrzech.

Gdy przed 57 laty cesarz Franciszek Józef I wstępował na tron, pożoga rewolucyi płonęła krwawo na całych Węgrzech od Karpat po Drawę. Dziś,



Walka o konstytucyę na Węgrzech: Nowy minister sprawiedliwości Bartłomiej Lanyi.



Walka o konstytucyę na Węgrzech: Nowy minister spraw wewnętrznych Józef Kristoffy.

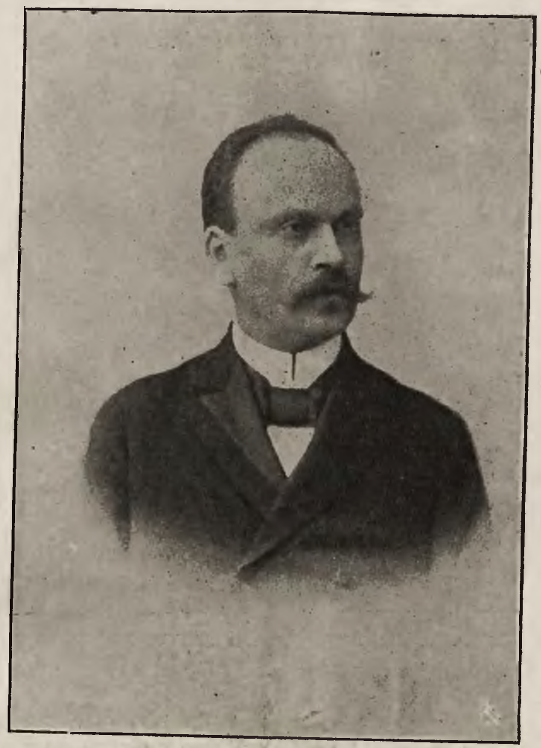
u schyłku życia, znajduje się on znowu wobec otwartego rokoszu całych Węgier, które bronią po męsku swych praw konstytucyjnych i nie dają sobą rządzić wiedeńskiej kamaryli.

Konflikt między Węgrami, a Koroną, trwający już od kilku miesięcy, zaostrzył się przez mianowanie nieparlamentarnego gabinetu. Cesarz powierzył mianowicie ster rządów na Węgrzech hrabiemu Fejerwary'emu któremu dodał kilka zer w randze ministrów. W ten sposób powstał gabinet, którego na Węgrzech nikt nie chciał, gabinet komiczny, odrazu zlekceważony. W skład jego wchodzą oprócz prezesa ministrów, barona Fejerwary'ego, który objął także tekę ministra skarbu i ministra *a latere,* następujący ministrowie: ministrem spraw wewnętrznych został Józef Kristoffy. Liczy on obecnie lat 58 i był starszym żupanem komitetu szatmarskiego.

Od roku 1896 zasiadał w sejmie, jako poseł rodzinnego komitetu Csanad. Tekę ministra handlu objął Władysław Vörös. Vörös liczący dzisiaj 57 lat, był od roku 1893 sekretarzem w ministerstwie handlu i stanowisko to opuścił dopiero w roku 1898 skutkiem konfliktu ze swym szefem Danielem. Od tego czasu pracował tylko jako poseł, zwłaszcza w dziale kolejnictwa. Przy ostatnich wyborach mimo, że kandydował w dwu miejscach, przepadł i nie został wybrany. Ministrem rolnictwa został Andrzej György. Jest to osobistość, ciesząca się wśród fachowych ekonomistów wielkiem poważaniem. Nowy minister oświaty dr. Jerzy Lukacs sprawował ostatniemi czasy urząd starszego żupana komitetu Bekes. Gdy na Węgrzech zaprowadzono śluby cywilne, objął Lukacs naczelne kierownictwo urzędów metrykalnych. Przy ostatnich wyborach przepadł pobity przez kandydata opozycyi. Bartłomiej Lanyi, który obecnie objął tekę sprawiedliwości, poświęcał się pierwotnie adwokaturze, następnie zaś wstąpił do ministerstwa sprawiedliwości i kierował tam sekcyą kodyfikacyjną. Minister honwedów Franciszek Bihar był szefem I sekcyi węgierskiego ministerstwa obrony krajowej.

Baron Fejerwary wziął na swoje barki oprócz prezesury gabinetu tekę ministra skarbu. Nie znalazł bowiem w całych Węgrzech człowieka, któryby był gotów w dniu 30 czerwca bez zezwolenia parlamentu kontrasygnować rozporządzenia monarsze, nakazujące Węgrom dalszą wypłatę kwoty na wspólne wydatki.

Fejerwary miał być pośrednikiem między koroną, a stronnictwami większości. Ale żadne stronnictwo nie chciało z nim gadać. Wszystkie traktowały go z wyszukanem lekceważeniem. Nie ulegało kwestyi, że parlament o takim gabinecie nie zechce słyszeć. Więc Korona zdecydowała się na ryzykowną próbę rządzenia na Węgrzech bez parlamentu. Na pierwsze posiedzenie sejmu przybył baron Fejerwary z dwoma reskryptami królewskiemi w zanadrzu: pierwszy zawierał nominacyę „gabinetu" Fejerwary'ego, drugi odroczenie sesyi parlamentu. Ale większość opozycyjna przewidziała ten manewr. Fejerwary'ego zaraz po wejściu do Izby powitano wrzawą protestu, poczem po odczytaniu nominacyi uchwalono mu odrazu na wniosek Kossutha votum nieufności. Nie chciano wogóle dopuścić do odczytania reskryptu odraczającego Sejm, a gdy gdy go wreszcie odczytano, uchwaliła większość otworzyć nad nim dyskusyę. W dyskusyi tej wniósł były minister baron Banffy rezolucyę protestującą przeciw odroczeniu parlamentu i zawierającą wezwanie do niepłacenia podatków, którą to rezolucyę jednogłośnie większość uchwaliła.



Nowy rektor uniwersytetu lwowskiego: Dr. Antoni Gluziński. (Treść na str. 9).



Nowy rektor uniwersytetu Jagiellońskiego: Ksiądz dr. Stefan Pawlicki. (Treść na str. 13).



Walka o konstytucyę na Węgrzech: Nowy minister rolnictwa Andrzej György.

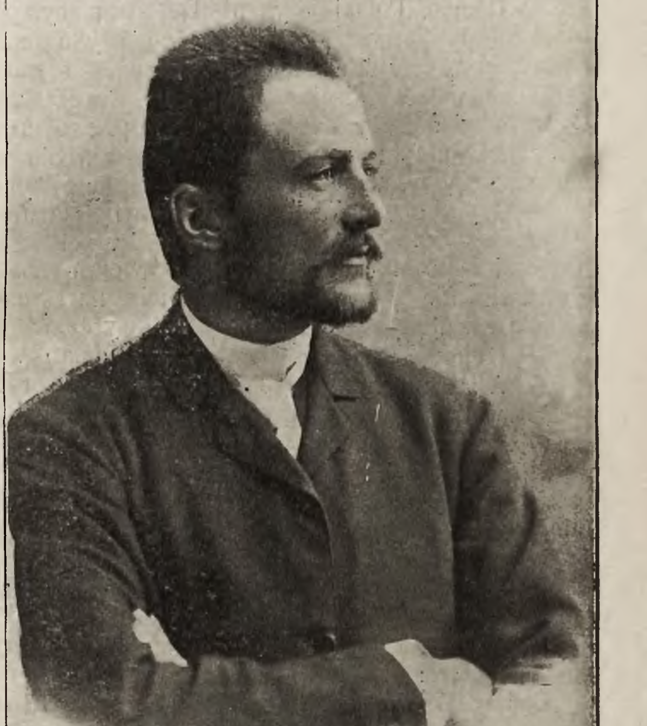


Walka o konstytucyę na Węgrzech: Prezydent sejmu Juliusz Justh.

Tak więc cały parlament węgierski, jak jeden mąż stanął przeciw zamachowi Korony na konstytucyę, przeciw próbie narzucenia Węgrom nieparlamentarnego rządu i rządzenia bez parlamentu. Obok narzuconego ministerstwa urzędniczego ukonstytuował się natychmiast rząd narodowy w postaci nieustającego komitetu stronnictw większości, rząd przeciwrządowy, ale reprezentujący wolę większości parlamentu. Baron Fejerwary musiał się naturalnie podać do dymisyi, ale dymisya ta nie została przyjętą. Stan ex lex trwa więc na Węgrzech nadal, oraz byłego prezydenta ministrów hr. Tiszy i prezydenta sejmu Juliusza Justha.

Baron Fejervary nie chwyci się jednak gwałtu, jak to z początku sądzono. Zamierza on, jak głoszą, zaprosić przywódców koalicyi na szereg konferencyi, celem omówienia z nimi programu, możliwego do przyjęcia przez koronę. Nim to nastąpi, nie zamierza baron Fejervary wziąć się do rozwiązania żadnego z problemów państwowych, a więc nie wyda samowolnie ustawy, regulującej kwotę, nie przystąpi do zawarcia traktatów handlowych i nie będzie brał gwałtem podatków i rekruta. Ciekawa tylko rzecz, skąd Fejervary weźmie pieniędzy na opędzenie kosztów swoich rządów, gdy ludność przestanie dawać płacone dotychczas dobrowolnie podatki.

W uzupełnieniu artykuliku podajemy fotografie wszystkich nowych ministrów.



Walka o konstytucyę na Węgrzech: Były prezydent ministrów hr. Stefan Tisza.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

(Ciąg dalszy). 5

— Na skarbnika proponuję koleżankę Helenę Borwicz.

— Bardzo dobrze... Doskonale...

— Jeśli chcecie — mówiła zarumieniona — będę skarbnikiem, ale zwolnicie mnie, gdy uznam się niezdolną do kasy.

— Dobrze... Dobrze... To później!

— Jednego z wydziałowych — zaczął Żalecki — potrzebuje towarzystwo takiego, któryby znał obce języki, niemiecki, francuski, rosyjski i angielski, jeśli to możliwe, gdyż często bywa w partyi, że trzeba w tych językach korespondować. Kto z kolegów włada temi językami?

— Ja umiem po niemiecku i francusku — odezwała się Fanny Baumritt.

— Za mało... a inni koledzy? koleżanki? — spytał Żalecki, a patrząc na wytworny strój Olgi mówił — a wy, koleżanko Wojtyrska, umiecie przecież po rosyjsku?

— Tak jest.

— I po francusku, i angielskie rozumie — zawołał Edmund nie bez dumy.

— Przepraszam was — odezwał się surowym głosem Walczak — wyjaśnijcie mi, dlaczego my musimy pisać w różnych językach i rozumieć ich listy, a oni są zwolnieni ze znajomości polskiego języka? Ja tego nie pojmuję i nie uznaję tego zrzeczenia się rodowitego języka.

— To jest bardzo jasne — wyrwał się pierwszy Waldman. Polski język nie jest panujący, jest sobie zaściankowy, czy używa tego języka jakie silne państwo?... Źle mówię... jakie wielkie społeczeństwo, jak niemieckie, angielskie, francuskie? Co by to było, ażeby każdy szczep, n. p. rumuński, serbski, bułgarski, zmuszał innych do uczenia się ich marnego narzecza? Powiedzcie, co by to było?

— Wy, kolego Waldman — mówił chmurny Walczak — macie dar drażnienia drugich. Nie idzie mi o potężne państwa, czy o wielkie społeczeństwa, ale o zasadę. Zrozumiejcie nareszcie... idzie o zasadę — podkreślił ostatni wyraz.

— O jaką? — uśmiechnął się Waldman.

— Albo w socyalnej demokracyi panuje równość i wolność... albo panuje w niej ktoś silny i potężny, a słabsi muszą się do niego stosować. Jeśli jest równość, wolność, poszanowanie godności, to list, pisany w moim języku, którym mówią miliony, powinien być dla nich zrozumiały, tak, jak ich list dla nas.

Waldman gotował się do złośliwej odpowiedzi, bo twarz jego blada, okolona kędzierzawą brodą skrzywiła się do drwiącego uśmiechu, gdy odezwał się Schweiger:

Cicho Waldman! Pozwól innym dojść do słowa... Niech kolega Żalecki coś powie w tej sprawie. On nasz przewodniczący, czy nie tak?

Żalecki odrzucił głową spadające mu na czoło włosy i trąc silnie ręce przemówił spokojnym głosem:

— W zasadzie kolega Walczak ma słuszność. My należymy do polskiej socyalno-demokratycznej partyi, która ma równe prawa z niemiecką, czy francuską socyalną demokracyą. Jednak było dotychczas zwyczajem... a wiem, bo należę do organizacyi...

— Zwyczaj — przerwał mu z uśmiechem Walczak — to tylko długotrwała moda.

— Hm... może macie racyę — rzekł Żalecki po chwili namysłu — ale ustaliło się, iż korespondencye są prowadzone w językach obcych. Wobec wątpliwości, poddaję tę kwestyę pod głosowanie.

— Proszę o głos! — zawołał Waldman i po chwili mówił:

— Ja uważam, że samo podniesienie tej sprawy przez kolegę Walczaka dowodzi, iż nawet wśród nas, socyalnych demokratów, pokutuje duch szowinizmu i narodowości. Czy ja do was, jako żyd, przemawiam po żydowsku? Zmuszam was do nauki tego języka? My, socyalni demokraci, nie uznajemy żadnej narodowości, a więc i polskiej. Każdemu zostawiamy swobodę przemawiania w języku, jaki zna. Pisze Niemiec do mnie, odpisuję po niemiecku.. i wnoszę, abyśmy się trzymali tej zasady.

Po nim przemówił Schweiger, wpatrywszy się w Żaleckiego:

— Przyjęliśmy za podstawę naszych decyzyi Manifest komunistyczny. Tam brzmi wyraźnie: proletaryusze wszystkich krajów łączcie się! Co to znaczy? To znaczy, że twórcy nie chcieli znać żadnych narodowościowych różnic, tylko mówią: „wszystkich krajów“, czyli wszyscy. I my socyalni demokraci nie powinniśmy sobie utrudniać porozumienia przez fałszywą ambicyę, tylko iść po bratersku. Pisze do mnie ktoś po niemiecku, co mi to szkodzi odpisać jemu po niemiecku, jeśli ja znam ten język? W imię braterstwa proletaryuszów nie zgadzam się na wprowadzenie nowego języka.

— Jako wnioskodawca mam ostatni głos — zaczął Walczak — i na zarzuty, zrobione przez dwóch kolegów, odpowiem faktem, że rozróżniamy dzisiaj: niemiecką socyalną demokracyę; francuską socyalną demokracyę i t. d. I zdaje mi się, iż w tym wypadku nie idzie o różnicę narodowościową, tylko językową. Zatem my, jako partya polskiej socyalnej demokracyi, mamy prawo do używania polskiego języka.

— Pozwólcie koledzy — zawołał Edmund — zdaje mi się, że tu zachodzi nieporozumienie. Idzie o listy. Otóż jak rozmawiam z przybyłym do nas cudzoziemcem w języku, zrozumiałym dla niego, tak samo odpowiadam listownie komuś w języku zrozumiałym dla niego. Jedni nazwą to grzecznością lub dobrem wychowaniem, inni braterstwem. Lecz dla tego, że odpisuję w obcym języku, nie wynika, ażebym w razie potrzeby nie użył i nie pisał w moim języku. I tę sprawę zostawmy uznaniu przewodniczącego.

— Ja się sprzeciwiam polskiemu! — zawołał Waldman z uporem.

— I ja także, ale z manifestu — dodał Schweiger.

— A ja zostaję przy swojem - powiedział Walczak.

Przy zarządzonem głosowaniu utrzymał się wniosek Edmunda.

— Zatem koleżanka Wojtyrska zostaje wybraną na wydziałowego. Czy zgoda, koledzy? — spytał Żalecki.

— Zgoda... Zgoda.

— Kogoż na drugiego wydziałowego?

— Ja myślę, że kolega Wojtyrski — uśmiechnęła się słodko Baumritt.

— Za dużo Wojtyrskich — zaśmiał się wesoło — i nie wiem, czy będę mógł przyjąć na siebie... są ważne przeszkody... proponowałbym kolegę Schweigera.

Wymieniony podniósł nagle głowę i spojrzał prawie z przerażeniem na zgromadzonych, co wywołało śmiech na ustach wielu, ale powstrzymali się i niemal zgodnie potwierdziii propozycyę Edmunda.

— Już na mnie czas — wstał Walczak z krzesła.

— Zaczekajcie, idziemy wszyscy.

— Nie mogę... spóźnię się na lekcyę.

Po jego wyjściu zaczęto się naradzać, w której stronie miasta należałoby wybrać mieszkanie i jak obszerne.

— Słyszeliście, co powiedział Walczak o was, gdy dawaliście pieniądze? — spytała przyciszonym głosem Helena.

— Tak jest.

— Czy nie impertynent?

— Co myśli, to i mówi... ale nie lubię tego gatunku szczerości. W każdym razie on dał dziesięć koron.

— Aby innym zaimponować — mruknęła.

— Dlaczego nie pożyczyliście dwóch koron tej ładnej.. koleżance?

— Baumrittównie? Raz już pożyczyłam jej pół korony i nie oddała, nie mam pieniędzy na wyrzucenie. A uważacie, jak się ona umizga do Wojtyrskiego?

— Nie zauważyłam.

— Chyba rozmyślnie tak mówicie — spojrzała podejrzliwie — przecież ona go kokietuje natarczywie. Uprzedzić go, bo jako młody wpadnie w jej sidła.

— Nie mięszam się do spraw osobistych. Jeśli im z tem dobrze, po co mam psuć?

Helena podniosła na nią zdziwione oczy i po chwili:

— Wy jednak jesteście zwolenniczką krańcowej swobody indywidualnej.

— Nie chcę tylko, aby mnie ktokolwiek krępował i ja nikogo nie krępuję.

— Ładna zasada — uśmiechnęła się — ale w życiu prawie niemożliwa do przeprowadzenia.

— Będzie nią i dlatego należę do partyi socyalno demokratycznej.

— Koleżanko Borwicz — przerwał cichą rozmowę Żalecki — odbierzcie złożone pieniądze i jutro z kolegą Waldmanem, jako gospodarzem zajmiecie się zakupnem potrzebnych sprzętów i mebli.

— Dobrze kolego — wzięła podsunięte pieniądze i ciszej do Olgi — pojęcia nie mam o cenach i gatunkach.

— Nauczycie się — uśmiechnęła się — przyda się wam przy zamążpójściu.

— Ani myślę prowadzić własnego domu, od tego są hotele i restauracye.

— Ja tak samo.

— Ale, ale koledzy — zawołał Edmund — jakże nazwiemy nasze towarzystwo?

— Prawda!

— To rzecz ważna!

— Ja proponuję Słońce! – zawołała Baumritt.

— Słońce?.. To zanadto pretensyonalne — skrytykował jeden z uczestników.

— Więc nazwijmy Prawdą! – odezwał się inny.

— Prawda, nic nie mówi, nie grozi – rzekł Waldman – ja jestem za Siłą! To jest już coś wielkiego, mocnego.

— Co za siła? piętnastu! – zadrwiła Eisenfach.

— Koledzy, ja mam nazwę — zaczął Schweiger — ona wydaje mi się dobrą. Pocośmy się zebrali? Aby siebie oświecać i innych. Jakie nasze dążenie? Aby zniszczyć, spalić, zrównać ze ziemią ustrój kapitalistyczny. A jakie słowo to razem wyraża? Pochodnia! ona oświeca, ona podpala. Czy źle?

— Zgoda!... Niech będzie „Pochodnia!“

IV.

Po dłuższej słocie nastały jasne, pogodne dni jesienne, pełne niewysłowionej tęsknoty, czaru, poezyi i barw, ostatnich uśmiechów kwiatów, które z ufnością niemal dziecięcą garnęły się do słońca, do światła, do życia.

Ogród miejski, przez który Olga przechodziła do uniwersytetu na popołudniowe wykłady, pełen był blasków opalowych, łagodzących jaskrawe barwy purpurowych i żółtych liści drzew.

Najlżejszy wietrzyk nie poruszał gałązkami i w ogrodzie panowała dziwna, cmentarna cisza, bez bolu, cierpień, rozpaczy i łez. Cicho, bez szelestu padały liście, tworząc barwny kobierzec na trawnikach i drożynach, kładły się do snu nicości, a nad niemi, jak pomniki nad grobami, stały w grupach astry, lewkonie, floksy, zapatrzone w blade promienie słońca.

Olga, ubrana w ciemny, elegancki kostyum, przywieziony z Petersburga, z kajetem w ręku, zwolniła kroku i rozmarzonemi oczyma wodziła po wielkim, pustym ogrodzie. Cicha melancholia dnia zbudziła w niej wspomnienia i owładnęła nią tęsknota nieokreślona za czemś dalekiem, dobrem, słodkiem, kochającem, czego sama nie potrafiłaby nazwać i zobrazować.

I przypomniały się jej smutne, jednostajne dni dzieciństwa, spędzane z guwernantką, rozdzielone systematycznie pomiędzy naukę, spacery, jedzenie, spoczynek, a jedynemi jaśniejszemi chwilami były odwiedziny matki, zawsze strojnej, zawsze spieszącej się na wizyty, wycieczki, zabawy.

Przed oczyma jej przesunął się obraz matki, młodej, ładnej... i ostro, prawie boleśnie zarysowało się wspomnienie, gdy poprowadzonno ją do posępnego pokoju, przepełnionego zapachem żywych kwiatów, woskowych świec, i ujrzała matkę w białej, bogatej sukni, zimną, obojętną, leżącą w metalowej trumnie.

I znów wlokły się dni smutne, jednostajne, podobne jedne do drugich, miarowe, jak przesypywanie piasku w klepsydrze...

Przypomnienia te podziałały osłabiająco na jej wolę, energię, siłę, uczuła konieczność odpoczynku, wytchnienia i usiadła na najbliższej ławce, pogrążona w rozgrzebywaniu przeszłości.

Zbudził ją wesoły, dźwięczny głos Heleny Borwiczównej:

— Wyglądasz jak śpiąca królowa, o czem marzyłaś?

Wzdrygnęła się, jak człowiek nagle przebudzony, i spojrzała osowiałemi, wpół nieprzytomnemi oczyma.

— Czyż podobna jestem do zbója lub zbira, że patrzysz na mnie tak przerażona.

— Zaśmiała się – chodź na fizyologię roślin już czas

— Dobrze... pójdziemy... usiądź na chwilę.

— Nie lubię bezcelowych spoczynków, wstań Olgo, otrząśnij się z lenistwa.

Energia Heleny podnieciła Olgę, wstała, a gdy szły dalej:

— Dziś, przy takim pięknym dniu nie chciało mi się iść do dusznej sali.

— I wolałaś jak „dziewczę z białego dworku“ – zaśmiała się – śnić, nie wiedząc o czem? Kochać, nie wiedząc kogo? Tęsknić, nie wiedząc za czem? Masz wszelkie dane, aby zostać bohaterką romansów.

— Co w sercu, to na języku – uśmiechnęła się Olga — i jak to znać, że głęboko studyowałaś te romanse.

— Dobrze! Ja jednak skończyłam te studya głupie, a ty zaczynasz głupotę.

— Dla ciebie wszystko jest głupotą, co nie wchodzi w ramy twego mózgu, a sądząc z twej postaci, ramy nie są zbyt wielkie – zaśmiała się.

— I dukat jest mały i Napoleon był mały.

— Stare frazesy — rzekła Olga.

— Ale zastosowane trafnie na razie.

— E, mniejsza z tem.. ale wiesz Heleno, poszłabym chętnie w pole... tak duszno w tym zbiorniku kamienic.

— A oto kwiaty, które hodują – wskazała na małą obdartą dziewczynę.

W tej chwili do idących podbiegła dziewczynka bosa, w połatanej spodniczce, w brudnej koszulinie i podając bukiecik więdnących kwiatków, zapiszczała:

— Kwiaty... śliczne kwiaty! Mama chora... nas czworo... kupcie panie!

Olga, wyjmując portmonetkę, spytała łagodnym głosem:



— A oto kwiaty, które hodują — wskazała na małą, obdartą dziewczynę.

— Jak się nazywasz, moje dziecko?

— Ja?... Małgosia.

— Gdzie mieszkasz?

Dziewczynka zawahała się, jak błysk przeleciał przez jej zniszczoną twarzyczkę uśmiech chytry i zajęczała:

— Daleko mieszkam... bardzo daleko, a mama chora... nas pięcioro, chleba brakuje.

Olga dała jej pieniądz drobny, hojną stosunkowo zapłatę i odmówiła wzięcia bukieciku.

— Mała! — rzekła surowo Helena, marszcząc swe piękne, czarne brwi — dlaczego kłamiesz? Przedtem mówiłaś, że was czworo, za chwilę było pięcioro...

Dziewczynka obejrzała się trwożliwie, zrobiła ruch, gotujący się do ucieczki, lecz została i po chwili:

— Nas czworo... a mama piąta... kup piękna pani kwiaty!...

Na rogu ulicy pokazał się policyant i dziecko spostrzegłszy go, umknęło szybko.

— I ona jest biedną, zwyrodniałą rośliną — szepnęła Olga.

— Na trzęsawisku nędzy — dodała z goryczą Helena.

Weszły w ulicę brukowaną, pełną turkotu, hałasu, a ze sklepów, restauracyi, z ciasnych podwórzy, wionęły na nie duszne, przykre zapachy i swądy.

Przyspieszyły kroku i nie zauważyły, że mężczyźni, zwłaszcza młodzi, przypatrywali się im badawczo, z uśmiechem kokieteryjnym, pragnąc zwrócić na siebie uwagę pięknych pań.

Olga z bujnemi blond włosami, w modnym kapeluszu, w kostyumie eleganckim, obcisłym, wydawała się wyższą i mimo młodej twarzyczki, biła od niej powaga i spokój. Helena, niższa od niej, ciemna szatynka, przy bystrych, śmiałych oczach miała twarz spokojną, słodką i wdzięczne, zaokrąglone ruchy.

Z jednej z przecznic wyszedł niespodziewanie Zalecki, w zwykłem, zaniedbanem ubraniu, a zobaczywszy idące panny, skłonił się dość niedbale, tylko na wyrazistej twarzy zabłysł uśmiech przyjaźni i rzekł przyłączając się:

— Koleżanki na wykład... jedna nam droga... i jeśli wam nie przeszkadzam, pójdziemy razem.

A ponieważ przy spotkaniu na chwilę przystanęli, powiedziała Olga:

— Chodźmy.

— A wy na jaki wykład, kolego — spytała Helena.

— Na historyę konstytucyi angielskiej; wykład nie tyle mądry, ile modny. A koleżanki?

— Na fizyologią roślin.

— Milszy wykład od mego, bo o żyjących tworach — uśmiechnął się — ale jeden i drugi wykład darowałbym za godzinę spaceru w polu, za miastem.

— A to ten sam gust, co koleżanka Wojtyrska — zaśmiała się Helena — romantyczne zachcianki.

Olga, leciutko zarumieniona, spojrzała z ukosa na Żaleckiego, który z powagą niezamąconą mówił:

— Koleżanka Browicz - rozmyślnie opuszczał zakończenie ówna, uważając je za przeżytek zależności kobiet – myli się, to nie romantyzm, lecz odczuta potrzeba zmiany warunków otoczenia. Wyrwać się z zatęchłych ulic miasta, z tej atmosfery gorzkiej walki z nędzą, odetchnąć świeżem powietrzem, spojrzeć na naturę, której nie zdołano zepsuć, bywa czasem wprost koniecznością fizyczną.

— Słowa kolegi już mnie przekonały — zaśmiała się swobodnie Olga – po wykładzie pójdę i ja, a może i więcej zbierze się z „Pochodni“.

W godzinę później gromadka, złożona z Olgi, Heleny i Baumritt, w towarzystwie Żaleckiego, Edmunda i Waldmana, rozmawiając z wielkiem ożywieniem o profesorach, wykładach, kolegach i koleżankach, skierowała się za miasto, na dalszy spacer.

Celem wycieczki było wzgórze, skaliste i nagie u szczytu, a zalesione na łagodnych zboczach.

Ożywczy powiew ze szerokich pól i niw, z odległych lasów; widok spokojnej natury, odpoczywającej po trudach lata i oddanych plonach, wśród jasnych i gorących barw i kwiatów, które mimo spóźnionej pory, bliskich szarug i przymrozków jesiennych, zaroiły się na rżyskach i ugorach, wpłynęły kojąco na idących, złagodziły złośliwe przytyki Waldmana i umniejszyły kokieteryjne zapędy Fanny Baumritt.

Zanim weszli na leśną drożynę, przystanęli na chwilę.

Spojrzeli na krajobraz.

Z jednej strony rysowała się wyraźnie na tle błękitnem część miasta, z rozrzuconemi wśród drzew podmiejskiemi domami, a wprost stojących pod lasem, ciągnęły się szerokie pola, przerżnięte drogami, ujętemi w szereg drzew i nasypem kolejowym, po którym sunęła maszyna, rzucająca kłęby dymu i ciągnąca za sobą szereg wagonów.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Krwawy dramat urzędnika: Koncepista Böhm, zabiwszy przełożonego, odbiera sobie wystrzałem życie.

Krwawy dramat urzędnika.

Niezdrowe widocznie panują stosunki w austryackich urzędach. Nie czas i miejsce rozpisywać się o tem: nepotyzm, protekcya i giętki kark są najlepszymi przewodnikami na drodze urzędnika austryackiego. Że człowiek prawy i uczciwy nieraz zgubić się może na manowcach, zbyteczne chyba dodawać.

Były koncepista skarbowej dyrekcyi w Zadarze, dr. Böhm, wystąpił przed rokiem ze służby państwowej, a otrzymawszy odprawne 4000 koron, udał się do Włoch. Wydawszy pieniądze, powrócił do Zadaru, udał się do biura starszego radcy skarbowego Rosini'ego i strzelił do niego dwa razy z rewolweru, poczem sam sobie życie odebrał. Rosini zdołał zawlec się jeszcze do sąsiedniego biura, gdzie ducha wyzionął.

Co był za powód rozpaczliwego kroku koncepisty, jaki konflikt zaszedł między nim, a przełożonym — to wszystko pokrywa tajemnica grobowa, tajemnica dwóch dusz, które poszły przed sprawiedliwy sąd Boski. Dla ludzi zostanie to na zawsze zagadką. Umarli nie wracają ani nie mówią.

Rycina nasza przedstawia moment, kiedy koncepista Böhm, powaliwszy celnym strzałem przełożonego swego — sam sobie życie odbiera.

Z krwawych dni Warszawy.

„W Warszawie wszystko spokojne" — tak brzmią urzędowe raporty, przysłane przez oberpolicmajstra do Petersburga. W istocie rzeczy sprawa inaczej się przedstawia. W Warszawie wre i burzy się; wola ciemiężonego ludu robotniczego stawia żądania, którym siłą rzeczy rząd carski zadość uczynić musi. Charakterystycznem jest przy tem, że żywioł najwięcej tchórzliwy, żywioł usuwający się zawsze na drugi plan — żydostwo stanęło wraz z polskim proletaryatem do walki z ciemięzcami. Słysząc i czytając o tem, przypominamy sobie mimo woli dzielną postać kapitana żyda-polaka Berka Joselewicza, który za czasów Kościuszkowskiego powstania z bronią w ręku poległ za swoją przybraną Ojczyznę i z bronią w ręku, jak na bohatera przystało, zginął za nią w bitwie pod Kockiem.

Uświadomienie proletaryatu żydowskiego jest dla dziejów Warszawy — niezmiernie faktem doniosłym i znamiennym. A oto świeża ilustracya do tego:

W zeszłą niedzielę było znów zajście na Pradze, a mianowicie na rogu ulic Brukowej i Targowej. Grupa żydowska poczęła rozlepiać odezwy. Spostrzegł to policyant posterunkowy Jaworski i zbliżył się do grupy, z której nagle padł strzał

Pożegnanie byłego burmistrza w Lubaczowie.

Stanowisko burmistrza w małych miastach prowincyonalnych jest urzędem nie tyle zaszczytnem, chociaż jest dowodem uznania i sympatyi współobywateli, ile niewdzięcznem i trudnem. To też wielkich potrzeba zdolności i poświęcenia się dla spraw miasta, wielkiej potrzeba umiejętności dogadzania i jednym i drugim, ażeby na tem stanowisku pozyskać sobie miłość współobywateli. Praca burmistrza jest bardzo ciężka, jedyną zaś nagrodą może być uznanie za tę pracę ze strony ludności.

Takiem uznaniem, taką miłością cieszył się w Lubaczowie p. Józef Kapka, który przez długi czas dzierżył w Lubaczowie ster rządów. P. Kapka należał do rady gminnej od lat 15, z czego 9 lat przepędził na burmistrzowstwie. Jako burmistrz starał się bardzo o należyty rozwój miasta, przeprowadził kanalizacyę, dbał o rozszerzanie ulic, o dobrą wodę do picia i wiele innych, czem zaskarbił sobie powszechną miłość u wszystkich mieszkańców.

W tych dniach musiał jednak p. Kapka opuścić Lubaczów, został bowiem przeniesiony do Kołomyi. W dzień odjazdu na dworcu kolejowym oczekiwała go rada miejska w komplecie z zastępcą burmistrza p. Greniakiem na czele i w rzewnych słowach żegnała swojego byłego zwierzchnika. Dworzec cały zapełniony był inteligencyą lubaczowską, gdyż p. Kapka i jako człowiek i jako obywatel zdobył sobie powszechne uznanie. Szczery żal współobywateli i ciepłe wspomnienie towarzyszyły p. Kapce, kiedy wyjeżdżał z Lubaczowa.

* * *

W uzupełnieniu artykuliku podajemy portret pana Kapki, oraz grupę rady miasta Lubaczowa w chwili pożegnania p. Kapki na dworcu kolejowym.



Fot. M. Münz. Lwów.

Pożegnanie byłego burmistrza w Lubaczowie: Grupa rady miejskiej, zebrana na dworcu w Lubaczowie, z byłym burmistrzem p. Kapką pośrodku.

Policyant trafiony w skroń padł trupem na miejscu“. Zabójca uszedł szczęśliwie i prawdopodobnie wyśledzonym nie zostanie.

Rycina nasza przedstawia chwilę gdy do zbliżającego się stójkowego, robotnik żydowski strzela.



Z krwawych dni Warszawy: Stójkowy, usiłujący przeszkodzić rozlepianiu proklamacyi — pada od strzału robotnika.

Zlot sokoli w Żywcu.

W poprzednim numerze podaliśmy ilustracye ze zlotów w Stanisławowie i w Brodach. W uzupełnieniu podajemy dzisiaj dwie ilustracye ze zlotu okręgu krakowskiego w Żywcu, który się odbył również w Zielone Święta.

Zlot w Żywcu, mimo trudności komunikacyi, wypadł wspaniale. Druhów i życzliwych sokolstwu osób zjechało tysiące. Miasto całe przystrojone było flagami, festonami i dywanami. W zlocie reprezentowanych było 27 Towarzystw. Ćwiczenia prowadził naczelnik okręgowy p. Ruciński. W ćwiczeniach wzięło również udział grono Sokołów z pod zaboru pruskiego.

Publiczne ćwiczenia dzielnych drużyn sokolich w niedzielę po południu, ściągnęły na boisko tłumy publiczności. Do ćwiczeń wolnych stanęło około 300 druhów, do maczug 80, sokolic, ćwiczących laskami, było 20, do ćwiczeń na przyrządach stanęło 24 zastępy, do reju kolarzy 20, do lanc 100. Są to cyfry imponujące.

W poniedziałek odbyło się poświęcenie sztandaru gniazda żywieckiego, a po południu festyn na dochód tegoż gniazda. Równocześnie odbywał się zjazd delegatów okręgowych. Postanowiono urządzić następny zlot w Jordanowie, oraz roztoczyć większą opiekę nad gniazdami kresowemi tak na wschodzie, jak i na zachodzie kraju.



Zlot Sokoli w Żywcu: Gmach „Sokoła“ w Żywcu. Fot. R. Strenger. Żywiec.

Ogółem zlot w Żywcu był najlepszym dowodem, iż idea sokola w naszym kraju, idea hartu ciała i hartu ducha zatacza coraz szersze kręgi i obejmuje coraz szersze warstwy. Karne, a silne drużyny sokole pozwalają na idei sokolej budować najpiękniejsze nadzieje. Nam potrzeba siły i potrzeba karności. A Sokół głównie o to się stara.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografię gmachu „Sokoła“ w Żywcu, oraz zdjęcie momentalne z ćwiczeń zlotowych, przedstawiające tak zwaną „piramidę“

Krwawy dramat rodzinny.

Są ludzie, którzy w uniesieniu, podrażnieni czy to oporem, czy sprzeczką. zapominają zupełnie o tem, że są ludźmi i są gotowi popełniać największe nawet zbrodnie. Są to dusze zaślepione, w których na dnie obrały sobie siedlisko złe żądze i złe instynkty, które, nie hamowane, wybuchają i ukazują człowieka w jego właściwej postaci — zbrodniarza. I zdarza się nieraz, że byle jaka sprzeczka, na pozór niewinna, wywleka te ich instynkty, tak, że przychodzi do katastrofy.

W tych dniach była wieś Wołczyszczowice koło Mościsk widownią krwawego dramatu rodzinnego. We wsi tej żyło dwóch braci, Iwan i Fedko Szmorhunowie. Obaj byli usposobienia gwałtownego i niejednokrotnie przychodziło między nimi do sprzeczek, które kończyły się mniej lub więcej krwawą bitką. Onegdaj obaj bracia również poczęli się kłócić. Mała z początku sprzeczka przemieniła się jednak wkrótce w krwawą bójkę. Obaj bracia byli silnymi chłopami, Fedko jednak był górą. Wtedy w obronie Iwana stanęła jego żona. Było to jakby oliwą dolaną do ognia sprzeczki. Fedko rozwścieklił się tak, że bez namysłu wyjął z za cholewy nóż, przyskoczył do Iwanowej i dźgnął ją w brzuch. Szmorhunowa, brocząc we krwi, padła nieprzytomna na ziemię i w kilka chwil potem zakończyła życie. Zwaśnieni bracia, zobaczywszy, co się stało, zobaczywszy, że jedno życie ludzkie padło ofiarą ich zaciekłości, stanęli jak niemi. Mąż nieszczęśliwej rzucił się jej na ratunek, zbiegli się sąsiedzi, radzili, cucili, ale nic nie pomogło. Szmorhunowa już Bogu ducha oddała. Zabójca stał zaś bezradny i tocząc dzikim wzrokiem po zebranych, ściskał kurczowo rękojeść noża, który jego bratową życia pozbawił, a jego zrobił zbrodniarzem. Nareszcie zjawiła się zawezwana żandarmerya, która zabójcę aresztowała i odstawiła do więzienia śledczego sądu powiatowego w Sądowej Wiszni.

Przerażającą tę chwilę, kiedy zbrodniarz z nożem w ręku tępym wzrokiem patrzy na swą ofiarę, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił, jakby nie widział wogóle co się z nim stało, przedstawia załączona na drugiej stronie rycina.

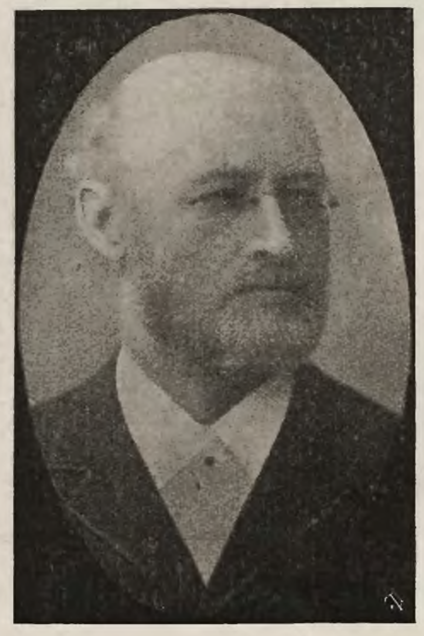


Zlot Sokoli w Żywcu: Z ćwiczeń zlotowych: Piramida. Fot. R. Strenger. Żywiec.

Oderwanie się Norwegii od Szwecyi.

Pisaliśmy już w jednym z poprzednich numerów o oderwaniu się Norwegii od Szwecyi. Wyłuszczyliśmy tam przyczyny oderwania się tego państwa północnego. Dzisiaj dodamy jeszcze parę uwag w tej sprawie, tembardziej, że sprawa oderwania się nie została jeszcze oficyalnie załatwioną.

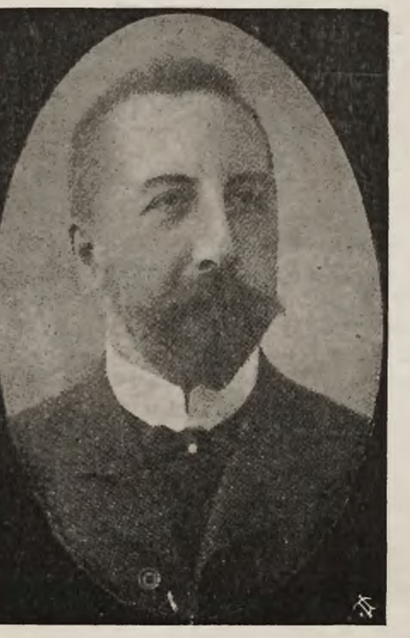
Pomimo, że różnica w motywach i powodach tego jest ogromną, Norwegowie w tym samym niemal stopniu nie lubią Szwedów, jak my Rosyi.



Oderwanie się Norwegii od Szwecyi: C. Berner prezydent stortingu.



Oderwanie się Norwegii od Szwecyi: Gustaw Karol następca tronu szwedzkiego.



Oderwanie się Norwegii od Szwecyi: Chryst. Michelsen prezydent ministrów w Norwegii.



Oderwanie się Norwegii od Szwecyi: Lövland, nowy norweski minister spraw zagranicznych.

Doszło do tego, że jeden z największych synów Norwegii, Björnstjörne Björnson, uważając unię swej ojczyzny ze znienawidzoną Szwecyą za upokorzenie, zwrócił się otwarcie do Rosyi z prośbą o pomoc w zerwaniu tej unii, ofiarując jej w zamian północną część Norwegii, z niezamarzającym nigdy, wygodnym portem Tremsoe. Dla Norwegii utrata tego zupełnie niemal pustego i ubogiego, a tylko przez koczownicze lapońskie plemiona z rzadka odwiedzanego kraju, wcale a wcale odczućby się nie dała, a port Tremsoe, wobec kilkudziesięciu równie dobrych a może i lepszych portów wzdłuż całego norweskiego wybrzeża, także żadnej prawie nie przedstawia dla Norwegii wartości. Zdawało się, że Rosya, nie posiadająca w Europie ani jednego, przez cały rok wolnego od lodów portu i zmuszona szukać go aż w Dalnym i Porcie Artura, rękami i nogami chwyci się propozycyi Björnsona, która szybko popularność w całej Norwegii uzyskała, tymczasem jednak nadzieje Norwegów zawiodły i Rosya na propozycyę wcale nie odpowiedziała. Złożyły się na to dwa powody. Po pierwsze ponieważ interes taki doprowadziłby z pewnością do zawikłań dyplomatycznych, a może i wojny ze Szwecyą, Niemcami i Anglią, a po drugie, że gra nie warta była świecy, port Tremsoe bowiem, jakkolwiek bardzo dobrą byłby stacyą dla rosyjskiej wojennej floty przez znaczną część roku, ma tę jedną a ogromną wadę, że leży już w tej geograficznej wysokości, w której przez 75 dni z rzędu słońce wcale nie wschodzi, czyli, że noc trwa tam bez przerwy



Oderwanie się Norwegii od Szwecyi: Obecny rząd norweski: Ministrowie: Olsön, Arctander, Bothner, Hagerup, Michelsen (prezes ministrów) Lehmkul, Lövland, Chr. Knudsen, G. Knudsen, Winje.

półtrzecia miesiąca, wskutek czego marynarskie techniczne roboty ogromnie byłyby utrudnione.

Propozycya ta, wyszła przed kilku laty jeszcze, a kiedy pozostała ze strony Rosyi bez odpowiedzi, Norwegom stało się markotno trochę. Tymczasem ucisk w Finlandyi opinię norweską otrzeźwił i na całej Północy uczynił Rosyę niepopularną. Myśl pomocy Rosyi zarzucono, tembardziej, że ozwały się trzeźwe głosy wybitnych mężów, przestrzegające ludy skandynawskie przed niebezpieczeństwem jakie grozi im ze strony caratu.

Widocznie wobec ostatnich klęsk rosyjskich w Mandżuryi, obawy przed zaborczością Rosyi znacznie osłabły, skoro Norwegowie zdecydowali się na ostateczne zerwanie ze Szwecyą. Dziś sprawa zerwania jest ogromnie zaostrzona, bo mocarstwa nie uznały jeszcze Norwegii za państwo samoistne i nie przyjmą oficyalnie ambasadorów norweskich, co się może fatalnie odbić na stosunkach ekonomicznych i handlowych tego państwa.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografię obecnego rządu norweskiego, oraz portrety norweskiego ministra spraw zagranicznych, prezydenta stortingu i prezydenta ministrów norweskich oraz portret szwedzkiego następcy tronu.

Młyn najnowszej konstrukcyi w Lubaczowie.

Młynarstwo, jakkolwiek u nas w każdym prawie folwarku znajdował się młyn, dotychczas się w Polsce należycie nie rozwinęło. Najbardziej rozpowszechnione są u nas młyny wodne. Młyny takie znali już Rzymianie w początkach ery chrześciańskiej. Od dwustu lat, wraz z rozwojem mechaniki, budowa młynów wodnych poczęła się bardzo doskonalić. W XIX wieku powstały już młyny parowe. Wielkie młyny nowoczesne cechują się tem, że przenoszenie kolejne zboża przez różne oddziały, od jednych machin do następnych, dokonywa się automatycznie w kierunku poziomym za pośrednictwem śrub i w kierunku pionowym za pomocą elewatorów.

W młynach wybuchają bardzo często pożary bez widocznej przyczyny; tłómaczy się to tem, że pył, unoszący się w powietrzu w młynie, łatwo zapala się od ciała płonącego lub rozżarzonego. Tak np. zeszłego roku w miasteczku Lubaczowie wybuchł pożar w młynie hr. Gołuchowskiego, a pastwą ognia padło wówczas 20 gospodarczych chałup. W tym roku stanął w Lubaczowie nowy młyn, zbudowany i urządzony według wszelkich wymogów przemysłowych, zaopatrzony w maszyny najnowszej konstrukcyi. Są tam bowiem i maszyny, służące do sortowania mąki.

Budowa tego młynu kosztowała 150.000 koron. Jest to pierwszy w Galicyi młyn, urządzony według wymagań najnowszej techniki. Otwarto go uroczyście i poświęcono przed kilku dniami.

Podajemy obok fotografię, przedstawiającą ogólny widok młyna.



Pożegnanie b. burmistrza w Lubaczowie: Notaryusz p. Józef Kapka, były burmistrz Lubaczowa. (Treść na str. 6).



Krwawy dramat rodzinny: Fedko Szmorhun morduje swoją bratową. (Treść na str. 7).

Nowy rektor uniwersytetu lwowskiego.

Rektorem lwowskiej wszechnicy wybrany został na rok 1905/6 prof. dr. Antoni Gluziński. Nowy rektor urodził się dnia 18 maja 1856 we Włocławku, w Królestwie Polskiem, jako syn doktora medycyny Franciszka i Waleryi z Szarlów. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych w Koninie i w gimnazyum św. Anny w Krakowie, wstąpił dr. Gluziński w roku 1874 na wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studya swe ukończył i otrzymał tytuł doktora wszech nauk lekarskich w 1879 roku na tejże Wszechnicy. Po roku studyów na Uniwersytetach w Wiedniu i Dorpacie, powołał go prof. fizyologii Uniwersytetu krakowskiego dr. Gustaw Piotrowski na swego asystenta. W tym charakterze pracował on do roku 1882, a od 1882—1887 pełnił obowiązki asystenta prof. E. Korczyńskiego przy krakowskiej katedrze chorób wewnętrznych. Podczas studyów uniwersyteckich nie zaniedbywał obowiązków społecznych. W r. 1878/8 obrano go przewodniczącym Bratniej pomocy. Jako asystent habilitował się dr. Gluziński na prywatnego docenta specyalnej patologii i therapii chorób wewnętrznych, a w roku 1890 zamianowano go profesorem nadzwyczajnym tychże przedmiotów. W 3 lata później na wniosek krakowskiego wydziału lekarskiego zaproszono go na katedrę zwyczajną patologii ogólnej i doświadczalnej i oddano mu kierownictwo instytutu patologicznego. Już jednak w 1897 r. powołał go wydział lekarski lwowskiego Uniwersytetu na katedrę zwyczajną specyalnej patologii i therapii chorób wewnętrznych i na dyrektora kliniki. W 1899 przypada wybór jego na dziekana wydziału lekarskiego.

Jako pisarz bardzo płodny, publikuje prace w języku polskim i niemieckim, przeważnie z dziedziny chorób wewnętrznych. Największą jego pracą jest „Zarys ogólnej patologii i terapii gorączki“.

Jako lekarz jest profesor Gluziński znakomitością. Tysiące chorych pielgrzymuje codziennie do znakomitego profesora, tysiące osób zawdzięczają mu zdrowie i życie.

Jako lekarz i profesor jest dr. Gluziński dumą i chlubą uniwersytetu lwowskiego.

Podajemy na str. 3-ej portret nowego rektora.



Młyn najnowszej konstrukcyi w Lubaczowie: Zewnętrzny widok młyna. Fot. M. Münz. Lwów.



O DWA MILIONY

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

6 (Ciąg dalszy).

Śledztwo, podjęte w tej sprawie przez policyę, wydało takie rezultaty, że o rzeczywistości tej zagadkowej historyi nie można było wątpić. Bill Crookey i nieznani towarzysze jego dokonali włamania, ale nie ukradli ani centa. Wiedzieli oni o teczce z gotówką i tylko ją mieli zamiar ukraść; dlaczego nie brali złota ani srebra — nie wiadomo.

Może podczas bezowocnych poszukiwań za milionami usłyszeli jaki podejrzany szmer, a może też zastał ich dzień przy robocie, tak, że musieli uciekać, nie myśląc już o zdobyczy; może też wreszcie pozostawienie pieniędzy w kasie było sprytnie obmyślanym podstępem, którego celu na razie nie zdołano poznać?

W każdym razie Bill Crookey nie był człowiekiem, ktory, zdobywszy milionowy łup, siedziałby w Nowym Jorku; on byłby potrafił ukryć się i uciec gdzieś na zachód, lub na południe, wtedy, kiedy jeszcze policya nie zdołałaby zarządzić środków do schwytania go; a tymczasem Bill siedział sobie najspokojniej w mieście, jakby się nic nigdy nie stało i oddawał się — naturalnie zawsze pod ścisłym dozorem tajnej policyi — słodkiemu sportowi bezczynności. Bill Crookey znał prawo jak adwokat i znał podstępy policyi, tak, jak ona sama; wiedział, żeby go natychmiast aresztowano, gdyby miano przeciw niemu jakie dowody i dlatego uważał za zbyteczne ukrywanie się.

Jasna rzecz, że wobec tego podejrzenie na firmę Vanderhook, a zwłaszcza na syna szefa, jeszcze się spotęgowało. Kapitan Tomson chciał koniecznie uwięzić Milesa Vanderhooka, ale oparł się temu inspektor Byrnes. Wprawdzie i on był zdania, że włamywacze byli rzeczywiście w porozumieniu z Milesem, wskazywało na to nietylko opowiadanie Boba Murphy, ale i znaczna liczba innych spostrzeżeń, ale tu znowu zachodziło pytanie, czy mister Zygmunt i szef banku nie wiedzieli o tem wszystkiem. Może ta cała historya z włamaniem i rozbiciem kasy była tylko nadzwyczaj sprytnym humbugiem, mającym na celu przygotować publiczność na zwinięcie banku, którego może wkrótce należało oczekiwać. Nawet Bob Murphy, chociaż uchodził za niepodejrzanego, był przez policyę pilnie obserwowany. Sam inspektor przesłuchał go raz jeszcze, ale porównawszy przesłuchanie z pierwszem jego zeznaniem, nie znalazł ani cienia sprzeczności. Siňce, które miał jeszcze do dziś dnia, świadczyły najwymowniej o jego niewinności. Mimo to kapitan Tomson powierzył jednemu z detektywów pieczę nad nim. Obserwacya Boba Murphy pozostała jednak bez rezultatu. Z raportów detektywa, który go pilnował, jeden tylko zasługiwał na uwagę, a mianowicie, że Murphy pierwszego i drugiego wieczora po włamaniu blisko przez godzinę romansował pod bramą z nowozaangażowaną do banku pisarką na maszynie, sekretarką młodego Vanderhooka. Urzędnicy policyjni, widocznie przekonani, że chodzi tu o zwykłą miłostkę stróża i młodej dziewczyny, przeszli nad tym raportem do porządku. A nie trzeba zapominać, że wskazówki tajemniczego *„detektywa P.“* znanego z nazwiska wszystkim, ale osobiście nikomu prawie, z wyjątkiem najwyższych urzędników, miały wielki wpływ na postanowienia komisarzy policyjnych. Detektyw *P.* odgrywał w tej sprawie — jak się zdawało — znaczną rolę — jakiego jednak rodzaju były jego przedsięwzięcia, zmierzające do wyświetlenia tajemnicy, jaką mu przeznaczono rolę i gdzie on przebywał, czy między złodziejami, czy też w biurze Vanderhooka, o tem wiedzieli jedynie inspektor, kapitan Tomson i kilku powierników.

Bill Crookey, słynny rozbijacz kas, przebywał rzeczywiście jeszcze w mieście. Dziś nawet, na trzeci dzień po włamaniu, siedział sobie swobodnie w restauracyi „pod blaszanką“ przy małym stoliczku, zwanym *„pauwau“* i zabawiał się ze swoimi towarzyszami, osławionym Toddem, którego czyny zapisane są złotemi głoskami na kartach dziejów sztuki złodziejskiej i również osławionym Grabberem, niedoścignionym specyalistą w kradzieżach kieszonkowych. Bill Crookey się nie zmienił. Wyglądał tylko może jeszcze chudszy, jak poprzednio. Posępnym wzrokiem spoglądał na pustą szklankę, stojącą przed nim na stole, spluwał co chwila na podłogę, lub szarpał niecierpliwie swoją długą brodę.

— Zdarzyło mi się już nie jedno, przyjaciele — rzekł i podniósł lewą rękę, u której brakowało małego palca, do góry — już niejednej paskudnej rzeczy byłem świadkiem, ale coś podobnego jeszcze mnie nie spotkało w czasie całej mojej wspaniałej drogi życia. Gdybym wam opowiedział historyę tego palca, którego już nie mam, ba, tobyście ze zdumienia wyskoczyli ze swoich błogosławionych skór. Ja sam go sobie nożem odciąłem, na świętego Grzegorza, ja to uczyniłem, kiedy przez nieostrożność Dan Liona złapałem się w zamek bezpieczeństwa. Haha! Dan Lion! To był kolega, zażarty pies, a zacny kompan! Niech go dyabli mają w swej opiece — zabiło go więzienie. Przez trzy lata siedział w Albany w więzieniu i myślał o ucieczce, potem zachorował i poszedł gryźć trawę, jak pies przed burzą. Dziś już jest na tamtym świecie, a ja nazywam siebie największym włamywaczem w Stanach Zjednoczonych, bo dopóki on żył — on był większy ode mnie. A był to nietylko jedyny rozbijacz kas, ale także finansista, umiejący zawsze zaoszczędzić parę dolarów. Widzicie, za ten palec, który straciłem z jego winy, zapłacił mi trzy tysiące dolarów.

Bill Crookey przerwał i począł szybko mrugać powiekami, poczem ozwał się stroskanym głosem:

— Nie zdołam temu przeszkodzić, chłopcy, ale jeśli wytężycie swoje maszyny wzrokowe, zobaczycie wilgoć w mojem lewem oku. Uważam to za znak, że pamięć wielkiego Dan Liona należy uświetnić, uczcić kieliszkiem whisky. Jak się uspokoję, pojedziemy dalej.

Grabber wybuchnął szyderczym śmiechem, kazał przynieść butelkę whisky i nalał do kieliszków.

— Niech cię kaci, Crookey — mruknął — ty musisz mieć pompę zamiast żołądka w swoim mizernym kadłubie. Ale teraz pij i dalej — musimy przecie skończyć.

Pierwszy włamywacz w Stanach Zjednoczonych udał, że tej uwagi nie słyszy.

Podniósł szklankę, trącił się z kolegami, głowa mu opadła.

— Dan Lion umarł, Jim Humphrey mruczy, a Bill Crookey jest znowu w pułapce — rzekł uroczyście — ale wszyscy inni to nędzne gałgany, łajdaki, oszuści, bydło, osły, świnie, szpicle policyjne, tchórze, ścierwa sakramenckie i psie łotry!

Uderzenie pięścią w stół przerwało tę mowę.

— Czy ty raz skończysz?! — krzyknął Todd.

Bill Crookey spojrzał z pogardą na niego i kiwnął głową.

— Nie zapalajcie się. Nie biorę w rachubę tych, co ze mną siedzą. A teraz — napijmy się! Piję zdrowie Dan Liona! Bogu dzięki, że umarł.

Śmiejąc się, wypróżnili szklanki i postawili je na stole.

— Teraz więc — rzekł Grabber, spoglądając na zegar — Bill Crookey, kończ, nie zapominaj, że nas nie mogą widzieć razem z tobą.

— *All right* — odparł Bill — teraz, kiedy moje gardło wśród pewnych ceremonii zostało należycie zwilżone, możemy dalej wieść rozmowę. Mówię więc, że nas szkaradnie oszukano. Jakto? Wykonać z taką precyzyą włamanie i potem biedować?! Oszukano nas skandalicznie i tylko zachodzi pytanie, kto nas tak urządził? Lone Jack, czy Miles Vanderhook?

Obydwaj współsiedzący zaprzeczyli energicznym ruchem głowy.

— Dajcie pokój Jackowi — ozwał się długi Grabber — to jest człowiek *all right.* Podszedł nas kto inny, to znaczy Miles Vanderhook.

— Ja też tak sądzę — ciągnął Bill — ten chłop ma piekielne szczęście. Ale dlaczego go nie aresztowano? To właśnie chciałem wam...

— Ba! A dlaczego ciebie nie aresztowano? — wtrącił Todd.

— Mnie? — zaśmiał się Bill. — Pocieszcie się, ja tak czy tak jestem prawie za kratą. Nie zrobię kroku, żeby policya o nim nie wiedziała. Tajni ajenci z przodu i tajni ajenci z tyłu. Ot, siedzimy tu teraz we trójkę. Czy myślicie, że nas nie obserwują? Bo też dlaczego mieliby mnie aresztować? Wiedzą przecie, że nie ukradłem ani grosza, a wiedzą również, że do włamania się nie przyznam. Gdzie dowody? Musieliby mnie puścić, rozumiecie?!...

— Doskonale — zawołał Todd. — Jeno pytanie, czy też i Miles Vanderhook jest pod dozorem policyi?

— O to możesz stawiać w zakład swój bezmózgi czerep. Nie tylko nad nim, ale nad całym tym dobranym personalem bankowym czuwa oko policyi. Najbardziej jednak cała ta banda łamie sobie głowy nad tem, dlaczegośmy nie tknęli ani złota, ani srebra, a wiedzcie, że to mi się jeszcze w czasie całej mojej karyery jako włamywacza nie zdarzyło. Niech to dyabli wezmą! Leżało tam złoto, dolarki cacane, srebra jak piasku, a myśmy tego ani nie ruszyli! Jeśli się nad tem głębiej zastanowicie, no, to przyjdziecie do przekonania, że dalibóg mnichy z nas, nie złodzieje artyści.

Złodziej kieszonkowy skrzywił się.

— Niech będzie, co chce — mruczał — Lone Jack tak rozporządził, a jemu trzeba było zaufać. Czyż to jego wina, że dwóch milionów w kasie brakowało?

— Masz słuszność — przerwał Bill Crookey — Lone Jack jest człowiekiem honoru, musieliśmy więc robić tak, jak on rozporządził. Podszedł nas, mówię to raz jeszcze, Miles Vanderhook, który niechaj będzie po trzykroć przeklęty! A teraz, posłuchajcie mnie, chłopcy, rozwinę przed wami mój nowy plan — najwspanialszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek ktokolwiek wymyślił. A więc! Lone Jack jest bez zarzutu, złodziejem jest Miles Vanderhook. On capnął monetę, a przypadek, przeklęty przypadek, przyszedł mu z pomocą. Myśmy się włamali i zastaliśmy naturalnie gniazdo puste. Lone Jack jest faktycznie bez grosza. Zdradziła mi to jego kochanka, o której on ani przypuszcza, aby była z nami w stosunkach. *Well!* Kiedy więc mister Miles na drugi dzień ujrzał ze zdumieniem, że kasa jest rozbita, podziękował dyabłu za jego piekielną sprawkę i postanowił na razie nie ruszyć się z Nowego Jorku. Liczył na to, że policya śledzić będzie włamywaczy, a jego pozostawi na boku. Ale Lone Jack postarał się, że policya zabrała się i do niego.

— Więc to tak?! — ozwał się Todd. — Dlaczegóż go więc nie aresztowano? he?

— Dzieciak jesteś. Przecież ojciec za niego poręczył. A ja wam powiadam, że to jednak jest wspaniała rzecz, iż policya tego ptaszka nie schowała do klatki, ale pozwoliła mu fruwać po Nowym Jorku — na tem zasadza się mój plan.

— Pleciesz same zagadki!

— Które wam zaraz rozwiążę, wyłożę jasno, mój chłopcze, jak włamywacz pierwszej klasy. A więc uwaga, bo przychodzę do rzeczy. Sądzę więc, a raczej jestem przekonany, że Miles Vanderhook na parę godzin przed naszem włamaniem zrobił kasę o dwa miliony lżejszą — czego w żadnym wypadku Lone Jack nie mógł przewidzieć, chociaż widział tego gałgana, skradającego się po wyjściu wszystkich urzędników w podejrzany sposób do skarbca. A zatem Miles Vanderhook ma owe dwa miliony i teraz czeka tylko na stosowną porę, aby módz z niemi czmychnąć. Wobec tego więc?

Zagadnięci rozdziawili gęby i patrzyli pytająco na mówiącego.

— Prosta rzecz — ciągnął Bill, śmiejąc się — z tego wynika, że musimy mu zdobycz wydrzeć, zanim on znajdzie sposobność, aby łup ten, który prawnie nam się należy, ulokować w bezpiecznem miejscu. Rozumiecie?

Grabber i Todd skinęli potakująco.

— Ale jak?

— Haha! W tem sęk! Oto właśnie chodzi! I to nazywam moim najwspanialszym planem. Zbliżcie się i otwórzcie uszy! Musimy Milesa Vanderhooka uwięzić, wziąć do niewoli, uprowadzić — nazwijcie to, jak wam się podoba — i musimy mu zdobycz odebrać przemocą, a gdyby... hahaha! Przecież wyście mnie właściwie tego nauczyli; tego nie wiecie?

Ostatnie słowa, nie stojące z poprzedniemi w żadnym związku, wymówił Bill Brookey bardzo głośno. Teraz trząsł się ze śmiechu, począł bardzo znacząco mrugać powiekami i śmiejąc się ciągle, prawił dalej:

— Jakto? Tego nie wiecie? *Well*, więc ja wam powiem, dlaczego ten wspaniały stoliczek nazywa się *„pauwau“*. Słowo to nie należy bynajmniej do złodziejskiego słownika. Uczeni, do których i ja się zaliczam, sylabizują je w następujący sposób: *Pi-o-döbbelju-o-döbbelju* (angielskie *w* czyta się *döbbelju*. Przyp. tłom.) to się równa słowu *„powow“*. Jestto wyraz indyjski, a w dobrej angielszczyźnie znaczy "zgromadzenie" albo „rada“ — rozumiecie? Stół ten jest więc pewnego rodzaju ogniskiem narad dla rzezimieszków, tu bowiem rozwijają swoje plany, zanim udadzą się na robotę. Cóż wy na to? Zgłupieliście! Nie przypuszczaliście, że w tej głowie, którą Bill Crookey nosi na swojej cielesnej powłoce, mieści się rozum tuzina amerykańskich profesorów?

Nikt nie odpowiadał.

Obaj złodzieje patrzyli zdumieni na mówiącego. Bill też umilkł i dopiero po chwili, gdy sala poczęła się opróżniać, podjął na nowo, jeno znacznie ciszej.

— Musiałem na chwilę odbiedz od przedmiotu, a to z powodu tego drągala, co się teraz rozpiera tam za bufetem. Zdaje mi się, że to jest szpicel, a kiedy się zbliżył do stołu, widziałem, że chce podsłuchiwać. No, może sobie wziąć do serca mój trochę przydługi wykład o słowie *„pauwau“* i szczycić się potem przed kolegami, jak on to poznał tajemnice złodziei. A teraz jedźmy dalej. Dowiedziałem się, że Milles Vanderhook codziennie o godzinie dwunastej udaje się do Delmonicos, ażeby tam wpuścić do swego niegodnego kadłuba śniadanie. Powraca o godzinie pierwszej. A więc — pojutrze. Pojutrze dwaj z naszej bandy, zaopatrzeni w odznaki tajnych ajentów policyjnych, przystąpią do niego i poproszą, aby się udał razem z nimi.



„Czy ty raz skończysz? — zawołał Todd.

— Co takiego? Przedstawią się jako tajni ajenci?

— Naturalnie, ale nie krzyczcie tak głośno. Wszystko się zrobi po cichutku. „Niech pan nie robi awantury“ — powiedzą mu — „jesteśmy tajnymi ajentami“ — i pokażą mu odznaki — „prosimy pana, aby się pan udał za nami. To dla pańskiego dobra jedynie. My, policya, dowiedzieliśmy się bowiem, że złodzieje, przebrani za ajentów policyjnych, chcą pana uprowadzić, gdyż są przekonani, że pan jesteś w posiadaniu owych dwu milionów, które oni przemocą chcą odebrać. Wieść ta doszła do policyi przed kilku minutami i zaraz wysłano nas obydwóch, aby pana ustrzedz przed niebezpieczeństwem. Zaprowadzimy pana jednak nie do policyi, bo te łotry według wszelkiego prawdopodobieństwa już nas mają na oku, lecz do prywatnego mieszkania, gdzie się pan dowiesz reszty“. Rozumiecie, chłopcy?

Grabber wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Doskonale pomyślane — szepnął — ale za mało obmyślane! Przecież możecie być przekonani, że zaraz w tej chwili wpadnie mu do głowy myśl, że dwaj dżentelmeni, którzy go zaczepili, nie są ajentami policyjnymi, ale właśnie złodziejami!

— Tak sądzisz?

Bill Crookey zaprzeczył ruchem głowy.

— Masz słuszność. Teraz widzę, że ty rzeczywiście jesteś zdolnym chłopakiem, należącym do wyższej klasy złodziei. Ale zapominasz o tem, że człowiek, który wam swój plan przedkłada, nazywa się Bill Crookey, a jest pierwszym włamywaczem i rozbijaczem kas w całych Stanach Zjednoczonych. Posłuchajcie. To, co Grabber mówi, to jest bardzo słuszne, ale ja jestem przygotowany. Naprzeciw dwóch naszych ajentów wyjdzie jeszcze trzeci, również należący do naszej bandy, ubrany w mundur policyanta. Tego chłopaczka nasi tajni detektywi zawołają i Miles może go, haha! dla upewnienia się, że jest bezpieczny, zabrać ze sobą. Co?

— Wspaniale — szeptał Grabber.

Ale teraz Toddowi coś się nie podobało.

— To wszystko dobrze — rzekł — to wszystko przemyślane bardzo szczegółowo, ale zapominacie o jednem, a mianowicie o tem, że wszyscy nasi są nowojorskiej policyi aż nazbyt znani. Któż więc podejmie się przedsięwzięcia?

— Pomimo, że jako złodziej doszedłeś już do nielada wprawy, jesteś jeszcze dzieckiem, ale to zupełnie dzieckiem, mój Toddzie — ozwał się Bill Crookey — bo gdyby nie to, to musiałbyś wiedzieć, że taki ptaszek, jak ja, który się słusznie mogę uważać za najsłynniejszego amerykańskiego włamywacza, o tem wszystkiem już pomyślał. Jutro poznacie trzech kolegów, po których już pisałem. Przyjadą z Kansas, gdzie ja ich poznałem. Jeżeli chodzi o miliony, to przecież można pozwolić kilku przyjaciołom, ażeby się także trochę przy nas pożywili. Ludzie ci, których specyalnością jest przebieranie się za policyantów i detektywów, są tutaj zupełnie nieznani, ale znają bruk nowojorski. Jutro w nocy przybywają, u „czerwonego Jacka“ stają na nocleg, tam im udzielę ostatnich wskazówek, a na drugi dzień spełniają swoją robotę, która dla nich jest drobnostką. Teraz już dobrze?

Todd i Grabber skinęli potakująco.

— Jak dotąd, wszystko dobrze — rzekł jeden z nich — ale już kończ, Billu i powiedz, gdzie masz zamiar schować mister Milesa i co z nim zrobisz?

— Tak, to rzecz najcięższa, bo, jak już wiecie, Miles Vanderhook znajduje się również pod ciągłym dozorem policyjnym. Śledzą za nim dzień i noc. Dlatego obmyśliłem i przygotowałem już, co następuje. Nasze chłopaczki zaprowadzą go na Bleckerstreet — prosto do mieszkania „czerwonego Jacka“, gdzie panowie ajenci zdejmą maski i wezmą się do ptaszka na dobre. My tam także będziemy. Pod domem znajduje się tam sklepiona piwnica z ukrytym wchodem — to jest nasze wspólne schronienie przed policyą — i gdyby policya rzeczywiście doszła za nami aż do tego domu, w co z góry nie wierzę, przetrząsła cały dom, to nas nie znajdzie, bo my drugiem, również tajnem wyjściem z piwnicy, zrobimy nogę.

— Dobrze — rzekł Grabber. — Mamy go więc w piwnicy. A teraz co?

— Co teraz? Prosta rzecz — wydrzemy mu tajemnicę gwałtem, czy przemocą, zmusimy go do tego, że wyzna, gdzie ukrył pieniądze, ażebyśmy je mogli wydobyć sami, albo też wydobyć przez Lone Jacka, gdy my tymczasem musimy z miasta czemprędzej się wynosić, bo już nam będzie trochę za gorąco w pięty.

— A jeżeli nic się z niego nie uda wydobyć?

Bill Crookey spojrzał na nich dumnie.

— *Well kill him!* — rzekł.

Obydwaj towarzysze patrzeli nań ze zdumieniem.

Ciąg dalszy nastąpi.



Święto Bożego Ciała: W Krakowie: Sztab generalny, zebrany przed kościołem św. Wojciecha w Rynku podczas procesyi.

Święto Bożego Ciała.

Boże Ciało — to święto, w całym świecie katolickim obchodzone z wielką uroczystością. Bo w dniu tym oddaje się hołd Chrystusowi publicznie, na rynkach i po polach, któremi przechodzą tłumne uroczyste procesye. Bicie dzwonów, pobożne śpiewy tłumów, dym kadzideł, jarzące światła świec, to wszystko zlewa się w przedziwnie harmonijną całość, podnoszącą ducha wysoko ku niebu. A pośród tych świateł tysiąca, wśród tej powodzi ludzkiego mrowia posuwa się zwolna baldachim, w szeleszczącym wieńcu chorągwi, a pod nim kapłan, niosący w monstrancyi Boga-człowieka, który zszedł z nieba na ziemię i pod nikłą postacią chleba się ukrył.

Prześlicznie opisał procesyę na Boże Ciało znany poeta warszawski Or-ot. Przytaczamy ten wiersz:

Ulicami procesya
Idzie z głośnem śpiewaniem,
Z biciem dzwonów kościelnych,
Z wonnych kwiatów sypaniem,
A chorągwie się chwieją,
Jako ptaki na wietrze,
A serc kornych westchnieniem
Drży przeźrocze powietrze.

Idą w bieli dziewczątka,
Jak aniołki niewinne,
Listki lilij, róż świeżych,
Sieją rączki dziecinne,
A duszyczka ich w niebo
Na skrzydełkach ulata,
Tam gdzie w chwale przedwiecznej
Bóg króluje, Pan świata.

Idą majstrzy cechowi
Z należytą powagą,
Stroją szatę godową
I łysiną lśniąc nagą,
Podtrzymują baldachim
Personaty cechowe,
Dumnie wznosząc do góry
Serce, oczy i głowę.

Z Przenajświętszą Monstrancyą
Staruszeczek ksiądz kroczy,
Widząc ducha oczyma
Wizyę — obraz uroczy:
Oto, zda się, z procesyą
Prosto dąży w błękity,
Gdzie chór śpiewa serafów,
Gdzie nadziemskie lśnią świty.

I tak miasto, jak wielkie,
Taje w skrusze serdecznej,
Płynie duchem do nieba,
Do krainy słonecznej,
Huczą dzwony kościelne,
Dzwonią śpiewy gorące
A tam w górze goreje
Wśród niebieskich fal — słońce.



Święto Bożego Ciała: W Krakowie: Ołtarz „pod baranami“ podczas procesyi.



Święto Bożego Ciała: We Lwowie: Główny ołtarz w Rynku. Fot. M. Münz. Lwów.

Szczególnie uroczyście obchodzoną bywa uroczystość Bożego ciała w miastach, gdzie rezydują panujący, oraz w większych miastach prowincyonalnych. W Galicyi najuroczyściej może obchodzi je Kraków, potem Lwów, Przemyśl i inne miasta.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografie z procesyi Bożego Ciała na Rynku w Krakowie, dwa zdjęcia z procesyi w Przemyślu, oraz jedną fotografię z procesyi we Lwowie.

Śmierć żołnierza pod kołami pociągu.

Płacimy dzisiaj państwu podwójny podatek: podatek pieniędzy i podatek krwi. Ten drugi jest dla nas rzeczywiście daniną krwi, bo musimy państwu dawać synów naszych w kwiecie wieku i sił, w najpiękniejszych latach, które przy uciążliwej służbie wojskowej przemijają chmurnie i posępnie, a co więcej, po większej części bezużytecznie. Podatek ten zaś płacić się musi, chociaż nieraz płacenie go

pociąga za sobą fatalne skutki, jeśli nie dla poborowego, to dla jego rodziny.

W niedzielę dnia 28 bm. o godzinie 11 wieczorem rzucił się pod koła pociągu ciężarowego, zdążającego przez Jarosław do Krakowa, tuż obok Jarosławia, żołnierz 89 pp. Stefan Lauruk ze Zawidowic pod Gródkiem i znalazł śmierć samobójczą pod kołami maszyny. Wypadek na pozór drobny, ale przerażający swą grozą.

Cóż było przyczyną, że nieszczęśliwy targnął się na własne młode jeszcze życie? Cóż go skłoniło do tego, że postanowił, aż w tak straszny sposób przerwać przędzę żywota?

Lauruka powołano w kwietniu br. do czynnej służby, gdyż nie uwzględniono reklamacyi jego matki staruszki, która w nim miała najlepszą podporę na starość. Ta okoliczność, tudzież wiadomość, że narzeczona jego przed kilku dniami wyszła za mąż, rozdrażniły Lauruka do tego stopnia, że postanowił życie sobie odebrać. Nie mógł patrzeć na to, że matka jego boryka się z biedą, a od niego



Święto Bożego Ciała: W Przemyślu: Główna część procesyi. Fot. M. Todt. Przemyśl



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Swięto Bożego Ciała: W Przemyślu: Uroczysta procesya po wyjściu z kościoła.

nie może żadnej oczekiwać pomocy, nie mógł się pogodzić z myślą że trzeba wszystko porzucić jeśli się ma obowiązki wobec społeczeństwa. Przyczyniła się do rozdrażnienia fatalna wiadomość o niewiernej kochance. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak pozbawić się życia. Sposób, w jaki go się pozbawił, jest najlepszym dowodem, że był zupełnie zdecydowanym umrzeć raczej, aniżeli żyć dłużej w takim stanie.

Zwłoki Lauruka znaleziono na drugi dzień na torze kolejowym, w strasznym stanie. W znacznej odległości od szyn leżała odcięta głowa, z rozwartemi od przerażenia oczyma, w których widać było jeszcze straszną mękę przedzgonną. Kadłub poszarpany leżał na szynach, jedna noga trzymała się dziwnym trafem reszty ciała, druga od kolana leżała odcięta poza szynami. W ten sposób poszarpane zwłoki zebrano razem i przeniesiono do kostnicy.

Na trzeci dzień pochowano zwłoki bez ceremonii religijnych i bez konduktu wojskowego. Tak skończyła cicha tragedya młodego szeregowca.

Zamieszczona obok rycina przedstawia zwłoki Lauruka po przejechaniu pociągu.

Nowy rektor uniwersytetu Jagiellońskiego.

Rektorem wszechnicy Jagiellońskiej na rok 1905/6 wybrany został profesor wydziału filozoficznego ks. dr. Stefan Pawlicki.

Ks. Pawlicki jest jednym z profesorów, którym słusznie się chlubi nasz uniwersytet. Urodził się w roku 1839 w Gdańsku; egzamin dojrzałości złożył w roku 1858 w Ostrowie, w Wielk. Księstwie Poznańskiem. Odbył podróże naukowe po Włoszech, Francyi i Niemczech; potem uczęszczał na uniwersytet we Wrocławiu; teologię studyował od r. 1868 do 1874 na Uniwersytecie Gregoryańskim w Rzymie. Stopień dra filozofii zdobył r. 1865 we Wrocławiu, stopień dra św. Teologii r. 1873 w Rzymie. Już w r. 1866 pełnił obowiązki docenta filozofii w Szkole Głównej warszawskiej; w r. 1874 przebywał w Rzymie na stanowisku prorektora polskiego Seminaryum OO. Zmartwychwstańców w Rzymie. W r. 1882 zapisuje jego nazwisko Uniwersytet Jagielloński w poczet swych docentów. Z początku wykłada chrześciańską filozofię na wydziale teologicznym, następnie jako nadzwyczajny i zwyczajny profesor teologię fundamentalną. W r. 1894 zamianowany został zwyczajnym profesorem filozofii na wydziale filozoficznym i dotąd pełni te obowiązki, jednając uczniów znakomitem opanowaniem przedmiotu, głębokością myśli, pięknością formy wykładu. Od r. 1901 jest kierownikiem Seminaryum filozoficznego; w r. 1900 otrzymał order korony żelaznej. Prace X. rektora Pawlickiego uzyskały zasłużony rozgłos w świecie uczonym; jest też ich autor członkiem czynnym rzymskiej Arkadyi i trzech rzymskich Akademij: *di religione catholica, Tiberine i dell' Immacolata Concesione,* członkiem czynnym rzymskiej *Societa dei cultori di cristiana archeologia* i papieskiej Akademii archeologicznej. Akademia Umiejętności krakowska liczy go w poczet swych czynnych członków. Obowiązki dziekana wydziału teologicznego pełnił w roku szkolnym 1888/9; obecnie z nowym rokiem szkolnym obejmie dostojną godność rektorską. Podajemy na stronie drugiej portret czcigodnego kapłana filozofa.



Smierć żołnierza pod kołami pociągu: Zwłoki Lauruka na torze kolejowym.

Ze świata

Z dziejów domu Obrenowiczów. — Książka p. t. „Koniec Obrenowiczów“. — Zasady Milana. — Walka na śmierć i życie z Rosyą. — Fortuna kołem się toczy. — Karciarze pod protekcyą policyi w Petersburgu. — Rodzina „wielkiej Teresy“. — Nie ma pieniędzy, nie ma znajomości.

Przed dwoma laty, w kilkanaście dni po zamordowaniu króla serbskiego Aleksandra i żony jego Dragi, ukazała się p. t. „Ostatni z Obrenowiczów“ broszura, napisana przez dra Wladana Georgewicza, który był przyjacielem i lekarzem króla Milana, ministrem, a później prezydentem gabinetu, biorąc zaś przez 28 lat czynny udział w polityce, poznał dokładnie stosunki Serbii. Broszura owa wywołała wielką senzacyę i została rozchwytaną w przeciągu kilku dni. Obecnie wydał Georgewicz dzieło p. t. „Koniec Obrenowiczów“, napisane na podstawie tajnych aktów, listów i ustnych relacyj, które tylko jemu samemu były dostępne.

Książka ta jest nadzwyczajnie zajmująca, a ponieważ mimo poważnego traktowania przedmiotu napisana jest lekko, na sposób francuski, znalazła licznych czytelników z wszystkich sfer. W galeryi postaci, które nam Georgewicz przedstawia, na pierwszy plan wysuwa się były król, a późniejszy generalissimus armii serbskiej Milan, który zjednoczył w sobie przeróżne wady syna wschodu i późniejszego adepta zachodu. W roku 1899, gdy Georgewicz jako prezydent gabinetu bawił na urlopie w Wiedniu, gdzie miał zrealizować pożyczkę serbską na 40 milionów franków, otrzymał dnia 24 czerwca telegraficzną wiadomość o zamachu na Milana. Jedna kula rewolwerowa lekko zraniła Milana, druga zaś dosyć ciężko jego adjutanta. Król Aleksander po tym wypadku za wpływem porywczego Milana chciał w całym kraju zaprowadzić stan oblężenia, ale ministrowie sprzeciwili się temu energicznie, Georgewicz zaś, wezwany telegraficznie do Belgradu jako prezydent gabinetu, równie wystąpił przeciwko zaprowadzeniu stanu oblężenia. Gdy Aleksander upierał się przy swojej myśli, Georgewicz odpowiedział, że w takim razie podaje się o dymisyę. Podczas tej rozmowy wszedł do gabinetu Milan, a wtedy Georgewicz oświadczył ponownie, że żąda dymisyi

— Porzućmy wielkie słowa — rzekł Milan — Mówmy spokojnie jak wytrawni politycy. Znam powody, które pana skłaniają do dymisyi i wiem, że gdybyś pan pisemnie chciał ją uzasadnić, tobyś wywołał podziw dla swojego patryotyzmu. Jesteś pan idealistą i z tego powodu uczuwasz potrzebę każdy swój krok usprawiedliwiać przed sumieniem. Otóż w przeciwieństwie do pana ja jestem straszliwym egoistą i materyalistą i żałuję tylko, że nie zawsze w życiu mojem byłem wierny tym zasadom. Albowiem wszystkie błędy, które kiedykolwiek popełniłem, a które mszczą się teraz na mnie, przypisać muszę właśnie mojemu odstąpieniu od zasady egoizmu. Naprzykład byłem zawsze z Rosyą na stopie przyjacielskiej, kiedy spełniałem wszystkie jej rozkazy. Po co do licha zadarłem z Rosyą wtedy, kiedy ją Anglia za uszy wlokła do Berlina i tam jej po kawałku zabierała zdobycz wojenną? Gdybym wtedy nie był myślał o korzyściach Serbii, ale o moim własnym interesie, siedziałbym dziś jeszcze na tronie, a mój Oleś wiódłby żywot bez troski, jako następca tronu. Tak — ale ojczyzna! owe „les grand mots“! Austryo! rób tak, ażeby się Serbii jak najwięcej skroiło. Za to Rosya przy pomocy naszych radykałów zrzuciła mnie z tronu, Austrya zaś ani palcem nie ruszyła, ażeby mnie ochronić przed zemstą Rosyi. I gdyby się było skończyło na tym błędzie! Ale patryotyzm jest febrą, przeciwko której nie skutkuje żadna chinina. Zamiast z moimi wcale pięknymi dochodami żyć pośród ludzi cywilizowanych i nie wracać do Serbii, a nawet przyrzekłem, powróciłem tutaj, ażeby pospieszyć na pomoc mojemu synowi i mojemu przyjacielowi Wladanowi, celem honorowego napełnienia beczki Danaid, to jest ratowania Serbii. Jaka wściekłość ogarnęła Rosyę, dowodem jest misya Jadowskiego. Kiedy misya spełzła na niczem, Rosya zmieniła program: zamiast Milana z Serbii wygnać, chce go zamordować, a początek zrobiono dnia 24 czerwca. A ty. Wladanie, widzisz to i jesteś zbyt inteligentnym, ażeby pojąć, że to nie jest akcya wroga wewnętrznego. Widzisz równie jasno jak i ja, że to jest walka na śmierć i życie pomiędzy Rosyą, a dwoma ostatnimi Obrenowiczami, walka panslawistów przeciwko „zachodowcom“ w Serbii.

Długo przemawiał w ten sposób ekskról Milan i zakończył zwrotem, że gdyby się ukorzył przed Rosyą, toby i jemu i Aleksandrowi byłoby dobrze. Oburzył się król Aleksander, ale Milan zawołał z uśmiechem:

— Il ne faut pas s'echauffer, mon garcon. (Nie trzeba się zapalać, mój chłopcze.)

Georgewicz wytrwał przy swojem zdaniu i Aleksander wyrzekł się myśli zaprowadzenia stanu oblężenia w Serbii. Ale Milan, brutalnie otwarty w wypowiadaniu swoich poglądów, nie mylił się, gdy powiedział, że odbywała się walka pomiędzy Rosyą, a dwoma ostatnimi Obrenowiczami. Milan umarł w Wiedniu śmiercią naturalną, Aleksander jednakże razem z żoną został, jak wiadomo, zamordowany przez oficerów swojej „wiernej armii“. Ale przyszła kolej na Rosyę. Car Mikołaj siedzi uwięziony w Carskiem Siole, czy też podobno w Petersburgu, armia zaś jego ponosi klęskę za klęską w Mandżuryi.

Fortuna kołem się toczy i teraz Rosya pod razami Japończyków uwija się jak wąż, a boli ją więcej jeszcze niż klęska na polu walki straszne upokorzenie wobec całego świata. Mimo to Petersburg bawi się. Gwardya pije w towarzystwie kokot, marynarka czyni to samo, urzędnicy również nie próżnują, a za nimi idą inni chętni naśladowcy. Od pewnego czasu dzienniki petersburskie zajmują się rozmaitemi spelunkami karciarskiemi, które kwitną w Petersburgu pod nazwą klubów. Obecnie pewną sławę zjednał sobie „klub jachtowy Petrowski“. Do niedawna klub ten, do którego należeli subjekci handlowi, kantorzyści, niżsi urzędnicy i drobni kupcy, wiódł bardzo skromne życie i dla braku monety miał się nawet rozwiązać. Ale zjawił się zbawca w osobie dentysty Gorkowskiego, który strapionym członkom opowiedział, że mnóstwo jest ludzi, którzy zagraliby sobie w karty, a nie posiadają klubu, gdzieby mogli tę zabawę uprawiać do woli. Karty dadzą dochód.

— A policya? — zarzucił jeden z członków.

— Policya chętnie zamknie obydwa oczy, byleśmy tylko nie rozprawiali o polityce.

Jakoż dentysta miał słuszność. Policya wcale się nie miesza do karciarzy, którzy mają w Petersburgu zapewnioną bezkarność. Wspomniany klub, który już po kilku miesiącach wynajął lokal za 40.000 rubli rocznie, gromadzi pod swoim gościnnym dachem mnóstwo karciarzy z najrozmaitszych sfer ludności petersburskiej, a dzienny dochód jego wynosi przeszło 1.000 rubli. Policya nie zwraca na to uwagi, pomimo, że za przykładem klubu „Petrowskiego“ poszły inne kluby i towarzystwa. Rząd rosyjski woli karciarzy niż ludzi, myślących nad przyszłością kraju.

Znowu powtórzyć muszę, że fortuna kołem się toczy, odczytawszy w dziennikach paryskich opis losu, który stał się udziałem rodziny Teresy Humbert. Jak wiadomo, pani ta, zwana „wielką Teresą“ dostała się do kryminału za to, że udając milionową spadkobierczynię nie istniejącego pana Crawforda zdołała „naciągnąć“ ludzi na przeszło 100 milionów franków. Przez kilkanaście lat żyła na wyżynach towarzyskich, aż wreszcie dostała się do więzienia. Rodzina jej wedle relacyi dzienników paryskich znajduje się obecnie w nędzy. Teściowa Teresy jako wdowa po ministrze na emeryturze, ale to nie wystarcza jej, musi bowiem wspierać ubogich członków rodziny, która niegdyś tak dostatnio żyła. Córka „wielkiej“ Teresy panna Ewa, o której rękę ubiegał się onego czasu Deschanel, ówczesny prezydent Izby deputowanych, gra wieczorami w tinglu na fortepianie i zarabia w ten sposób sto franków na miesiąc, co w Paryżu nic nie znaczy. To też panna Ewa żaliła się wobec jednego z reporterów, że nie płaci od kilku miesięcy czynszu i wyleci wkrótce na bruk, jeżeli jej nie nie pospieszy z pomocą który z dawnych wielbicieli. Starsza siostra Teresy dostała skutkiem nędzy obłędu i za pomocą lichych rymów, które ogłosiła w jakiemś brukowem pisemku prosi dawnych znajomych o wsparcie. Ale dawni znajomi ani myślą przyznać się do dawnej znajomości Nie ma pieniędzy, nie ma znajomości. *Klewe.*

Pogrzeb żołnierza.

Obrazek z życia naszych rekrutów.

Kapral zły biegał i złorzeczył niebu,
Które sypało rzęsistym deszczykiem —
Kapral zły zawsze biegał w dzień pogrzebu.
Raport służbowy zdał przed porucznikiem
I przed front pobiegł ze służbistą werwą
— „Vorwärts!... Krok trzymać, ty rekruckie (ścierwo!“
Kapral się złościł — miał słuszność w istocie!
— To jest niedziela — to jego rozrywka!
Brnąć aż pod cmentarz w tym deszczu i błocie,
Zamiast w knajpeczce siąść przy kuflu piwka
Ze swoją panną Maryanną — służącą
Którą pan kapral kochał tak gorąco!...

O! już pan kapral to miał zawsze pecha!
Musztruj rekrutów w każdy dzień powszedni,
W niedzielę grzeb ich — to czysta uciecha!...
I jeszcze mu życia zazdroszczą niejedni
I czego? czego?... — Kapral głową kiwa:
„Że głupi r e k r u t zapłaci mu piwa!...“

Czuje, że przemókł, że nawet już ziębnie
I humor jego raz w raz się pogarsza.
W tem uderzenie usłyszał na bębnie —
Wnet będą grali — to — początek marsza:
Marsz chopinowski — pogrzebowe dźwięki
To łkanie przez łzy, to rozpaczy jęki.

Przed karawanem ciekawych gromadka
Stanęła patrząc — ot! uliczne gapie —
Bo ślub, czy pogrzeb — nie brak nigdy świadka
Czy słońce świeci — czy (jak dziś) — deszcz [chlapie
Wtem głos się wyrwał nagle z czyjejś piersi:
„Puśćcie i mnie tam l u d k o w i e najszczersi!“

Jakaś wieśniaczka gwałtem się przeciska —
— „Biedny mój Jaśku! przyszło-że ci na to?
Nie dali ci mnie nawet widzieć zbliska
Wzgardziłeś matką i gruntem i chatą!
Nie zobaczyłam cię synku w trumience,
Oczu nie zwarłam — nie złożyłam ręce!“ —

— „Co to za baba?!“ — zagrzmiał głos kaprala
Ktoś odpowiedział: „To matka g e m a j n a
Co oto p o m a r ł — baba się rozżala
Bo m u s i jeszcze wojska niezwyczajna!“
A kapral mruknął: „Matka czy nie matka
Niech idzie, ale niech se gębę zatka!“

I pochód ruszył... Obok karawana
Druhowie broni (jak to na pogrzebie)
I biedna wiejska matuś zapłakana
Idzie i szlocha i skarży do siebie
Jęki jej wzruszą nawet — pierś niewiecką:
„Oj! synku! synku! oj! moje ty dziecko!“

„Nie spojrzeć tobie już więcej do słonka
Ni w oczy twojej sieroty — matuli,
Ni do kościoła chodzić na głos dzwonka
Inna cię matka ukocha — przytuli.
Ta, coś w jej łono nieraz sypał ziarna —
Ale i n a k s z a, ale zimna — czarna!

„Nie tobie więcej już chodzić za pługiem,
Ani koniki napoić przy żłobie,
Ani pogadać z towarzyszem drugim,
Ani dziewczyną ucieszyć się tobie!
Chata twa mała — od jednego cieśli
I na grunt obcy już mi cię przenieśli!

„Dwa lata temu dziecko gospodarskie
Wzięli cię z domu — Jaśku! czy pamiętasz?
Odziali w s i w e u b r a n i e c e s a r s k i e
I w tem ubraniu niosą dziś na cmentarz.
Choć biednej matce może serce pęknie —
A za to grają — grają bardzo pięknie!

Pójść ci do domu nie dali dwa latka
Nie dali nawet przemówić po swojsku
Jak mówił ojciec — jak uczyła matka
I zamęczyli cię Jaśku przy wojsku!
O s t a n ę teraz sama w pustej chacie
O ludzie! ludzie! czy wy litość macie!!?“

Kapral sam podszedł do wiejskiej kobiety:
— „Stało się! umarł!... łzy go nie odkupią!
U was kto umrze to już: r e t y! r e t y!
No! nie płacz! nie płacz! bo i mnie coś głupio!
Wszak dla cesarza umrzeć — to nie s t r a s z n i e
Za to tak pięknie gramy c h ł o p u właśnie!...

Konstanty Krumłowski.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

(Jeszcze bitwa pod Cuszimą. — Kto zawinił? — Bohater z pod Hull w niewoli japońskiej. – Pensye admirałów. Co będzie robił Togo. – Japończycy na morzu Bałtyckiem. Potęga floty japońskiej. – Miliony na dnie morza. — Wydobywanie zatopionych okrętów. – Konkurs japoński. – Nazwy japońskich okrętów wojennych. – Posłannictwo Japonii. Wojna czy pokój. – Orędzie rosyjskich generałów. — Nasze ilustracye. – Z ostatniej chwili.)

Fachowi marynarze zastanawiają się teraz jeszcze nad przyczynami tak niesłychanego w dziejach pogromu, jakiego doznał admirał Rożdiestwieński pod Cuszimą. Streścimy tutaj pokrótce najważniejsze ich zapatrywania.

Przedewszystkiem wszyscy zgadzają się na to, że po półrocznej podróży morskiej, statki rosyjskie znajdowały się w stanie nietęgim. By skutecznie mogły rozpocząć walkę, powinny były poprzednio musi odbić na działaniach wojennych na lądzie. Jego najważniejszy obowiązek zasadzał się na utrzymaniu floty rosyjskiej na Oceanie Spokojnym, dopiero w drugiej linii powinien był myśleć o wydaniu bitwy flocie japońskiej. Należało przytem unikać bitwy przed dopłynięciem do Władywostoku. Wówczas klęska nie mogłaby była przybrać takich strasznych rozmiarów.

Rożdiestwieński zgrzeszył zupełnym brakiem zmysłu organizatorskiego i strategicznego talentu. Nie miał ani służby wywiadowczej ani nie porobił przygotowań do odwrotu, ani nie ułożył należytego planu bitwy. Może był dobrym marynarzem na manewrach, ale strategikiem morskim nie był nigdy. Brakowało mu talentu admirała wojennego. Ba! Nie umiał nawet zginąć sam w porę ze swoją flotą, co opromieniłoby jego postać aureolą poświęcenia, poezyi wojennej.

syjski, którego ideałem jest jak największa ilość orderów i jak największa pensya.

Kiedy już mówimy o pensyach, nie od rzeczy będzie przytoczyć tutaj ciekawe spostrzeżenie jednego z wojskowych krytyków rosyjskich, spostrzeżenie co do uposażenia marynarzy japońskich i rosyjskich. „Według budżetu z roku 1904—pisze ów krytyk — we flocie japońskiej średnio każdy marynarz (łącznie z oficerami) otrzymuje 143 ruble, a we flocie rosyjskiej 104 ruble. Na wyżywienie marynarza japońskiego przeznaczono średnio 56 rubli, a na marynarza rosyjskiego 24 ruble, jakkolwiek życie w Japonii jest dwa razy tańsze, niż w Rosyi. Ale za to głównodowodzący flotą w Rosyi otrzymuje 108.000 rubli rocznie, a w Japonii admirał Togo zadowalnia się skromną pensyą 6000 rubli“.

Jakie to charakterystyczne!



Z wojny ros.-jap.: Admirał Togo, zwycięzca z pod Cuszimy, przy łóżku chorego Rożdiestwieńskiego.

podledz gruntownej naprawie w wielkich warsztatach okrętowych. Rożdiestwieński powinien był z góry wiedzieć, że jego okręty wymagają naprawy. Powinien był cenić przeciwnika, który wykazał wiele cech bohaterskich; powinien był zdawać sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim zaciąży w razie przegranej. Rożdiestwieński popłynął cieśniną koreańską. Dlaczego? Szukać bitwy i płynąć prosto na spotkanie nieprzyjaciela mógł admirał rosyjski tylko wtedy, gdyby był pewny absolutnie liczebnej przewagi swych statków, tudzież przewagi umysłowej i moralnej podkomendantów, oficerów i majtków. Tymczasem eskadra rosyjska, mająca więcej pancerników od japońskiej, szwankowała na punkcie krążowników i torpedowców. Admirał rosyjski powinien był pamiętać, że ma do czynienia z admirałem Togo, używającym zasłużonego rozgłosu i z flotą, która od roku przeszło stała w ogniu, powinien był pamiętać, że w razie jego klęski Rosya traci panowanie na morzu, co się

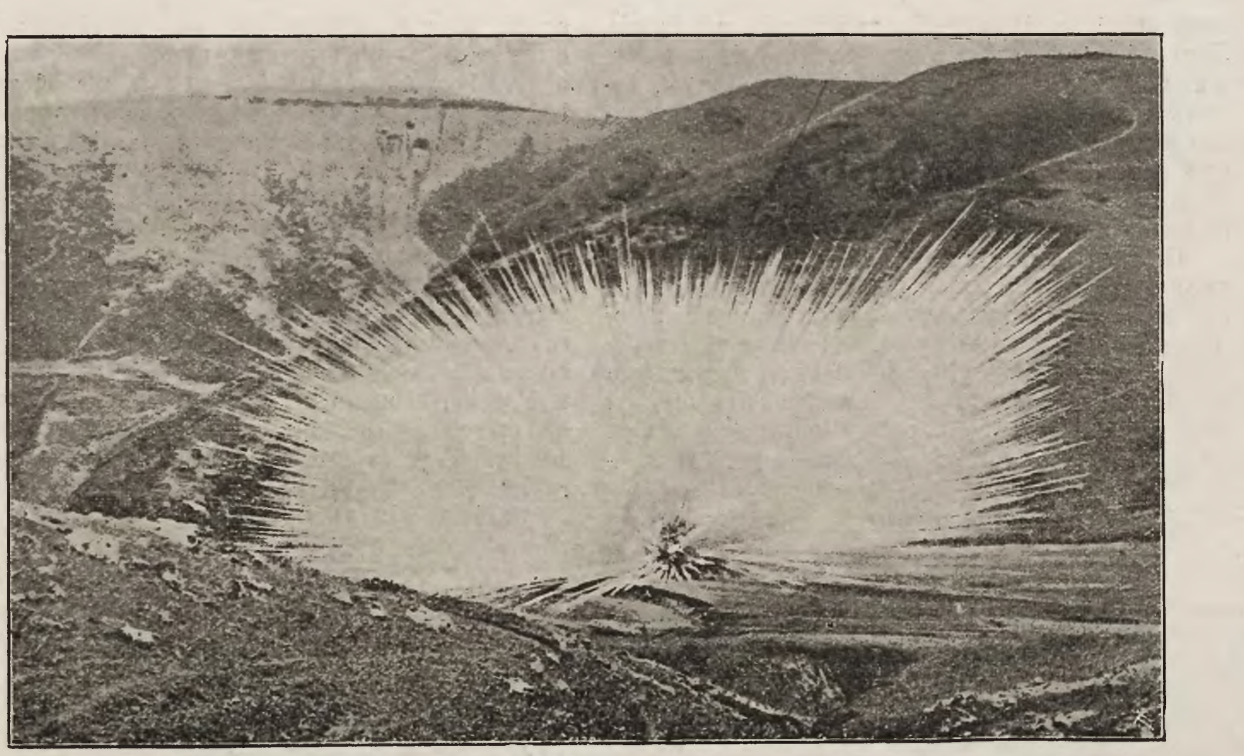
Tak się na przyczyny klęski zapatrują marynarze fachowi. Jak widać, wedle ich zdania, główną i jedyną winę klęski pod Cuszimą ponosi bohater z pod Hull, admirał Rożdiestwieński.

Jak wiadomo, Rożdiestwieński znajduje się obecnie w niewoli japońskiej, ciężko chory. Odniósł on w bitwie pod Cuszimą bardzo poważne rany, tak, że, jak słychać, musiano mu teraz amputować nogę i rękę. Rany te jednak poniósł rosyjski dowódzca bynajmniej nie dlatego, że sam wystawiał się na niebezpieczeństwo śmierci, ale owszem, został ranny tylko przypadkowo, jakby na stwierdzenie przysłowia „gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą“. Wiadomo bowiem, iż zaraz na początku bitwy uciekł z okrętu admiralskiego i przeniósł się na najszybszy, jaki miał, torpedowiec. W czasie przenoszenia się prawdopodobnie został raniony. Rożdiestwieński nie myślał zresztą o śmierci bohatera. Daleki był on marzeń o sławie i wielkości. Był to przecież nic więcej, tylko stupajka ro-

Admirał Rożdiestwieński, mając taką ładną pensyjkę, przywiązał się do życia, które dlań przecie było usłane różami. Bo trzeba wiedzieć, że wysocy urzędnicy w Rosyi mają oprócz pensyi „boczne“ dochody, pochodzące z kradzieży funduszów na pewne cele przeznaczonych, które to dochody przewyższają nieraz nawet pensyę. I jak tu nie ukochać życia, gdy się ma takie warunki!

Co teraz będzie robił admirał Togo ze swoją flotą?

Na to pytanie odpowiada jeden z dziennikarzy bardzo dobrze obznajomiony z wojną, gdyż przez rok prawie był korespondentem wojennym i znajdował się parę miesięcy przy flocie admirała Togo, w dłuższym artykule, z którego podajemy wyjątki. Otóż wedle zdania owego Anglika, Togo część statków pozostawi pod Władywostokiem; będzie to mniejsza część okrętów mniejszej wartości. Na czele części większej, okrętów większych rozmiarów po ich odświeżeniu i po zorganizowaniu flotyli sta-



Z wojny ros.-jap.: Mina 300-kilogramowa, eksplodująca pod fortem Anteshan.

ków przewozowych, węglowych, admirał Togo popłynie przez kanał suezki na morze bałtyckie celem ostrzeliwania tamtejszych portów rosyjskich. Jeżeli bowiem admirał Rożdiestwieński mógł przepłynąć na morze japońskie naokoło Afryki, to tem prędzej admirał Togo potrafi się znaleźć na morzu Bałtyckiem. Rozumie się, że poprzednio naprawi swe okręty, zaopatrzy je w materyał wojenny i żywność.

Zapytacie, co będzie z węglem?

Otóż część węgla admirał Togo powiezie na tych statkach węglowych, które Japończycy zabrali Rosyi. Część drugą zamówi Japonia u firm angielskich i niemieckich. Kupcy angielscy i niemieccy, którzy dostarczali węgla Rosyi, dostarczą go również chętnie Japonii. W każdym razie ryzyko będzie mniejsze, niż poprzednio dla Rosyi. Statki węglowe będą oczekiwały na Japonię wzdłuż całej drogi od Indyi Zagangesowych, aż do portów angielskich i niemieckich morza Niemieckiego. Według obliczeń marynarzy japońskich, admirał Togo może stanąć u celu w przeciągu siedemdziesięciupięciu dni, jeżeli więc wyjedzie w połowie lipca to pod koniec września może rozpocząć blokadę jednego z rosyjskich portów w Europie.

Czy taka ekspedycya byłaby dla Japonii możliwą?

I owszem. Koła marynarskie w Japonii oświadczyły jeszcze w zimie, kiedy Rożdiestwieński był w drodze na Daleki Wschód, że po pokonaniu floty bałtyckiej Japończycy udadzą się na Bałtyk w takiej sile, by mogli przeprowadzić skuteczną blokadę wszystkich portów rosyjskich. Zależy im na tym kroku, celem podniesienia ducha w całej Japonii i przeprowadzenia dowodu wobec Europy, że marynarka japońska może taksamo zjawić się na wodach rosyjsko-europejskich, jak marynarka rosyjska znalazła się na wodach japońskich.

Trzeba tu dodać, że w ubiegłym wieku pojawiła się flota nieprzyjacielska dwukrotnie u brzegów rosyjskich na morzu Bałtyckiem. Była to mianowicie flota angielska i francuska. Zjawiły się raz w 1853 w czerwcu i aż do zimy blokowały porty rosyjskie. Zdobyły wówczas twierdzę Bomarsund. W roku 1855 obie floty pojawiły się po raz wtóry na Bałtyku i 16 maja stanęły pod Rewlem, i popłynęły pod Kronsztad. Odpłynęły dopiero we wrześniu.

Z góry jednak powiedzieć możemy, że ekspedycya admirała Togo na Bałtyk miałaby cel wyłącznie demonstracyjny. Czy zaś naród tak praktyczny, jak Japończycy, zechce na czczą demonstracyę poświęcić do 150 milionów koron, to wielkie pytanie. Jedna rzecz jest tylko pewna, a mianowicie, że demonstracya taka byłaby rzeczywiście imponującą. Trzeba bowiem zważyć, że Japonia ma teraz już kolosalną flotę wojenną, 4 wielkie okręty wojenne zdobył Togo pod Cuszimą, jeżeli zaś wydobędą jeszcze zatopione okręty w Porcie Artura i pod Cuszimą, gdzie morze jest niezbyt głębokie, to flota ich wojenna będzie się mogła śmiało mierzyć nawet z flotą angielską.

Na dnie morza w zatoce portarturskiej i w cieśninie koreańskiej leżą miliony w postaci zatopionych okrętów. Zupełnie naturalną jest rzeczą, że o wydobyciu tych okrętów myślą zarówno Japończycy, jak i rozmaici inżynierowie, bo wydarcie tych skarbów morzu, chociażby miało kosztować miliony, przyniesie jeszcze zysk, wcale pokaźny. Ale wydobywanie okrętów nie jest rzeczą łatwą, a im więcej czasu upływa, im dłużej okręt znajduje się na dnie morza, tem wydobycie go staje się mniej prawdopodobnem. Stwierdzono, że po kilku okrętach, które przed kilku dziesiątkami lat zatonęły w pobliżu wybrzeży hiszpańskich, obecnie już i śladu odszukać nie można. Zasypał je piasek tak dalece, że dziś stanowią one niejako część składową dna morskiego.

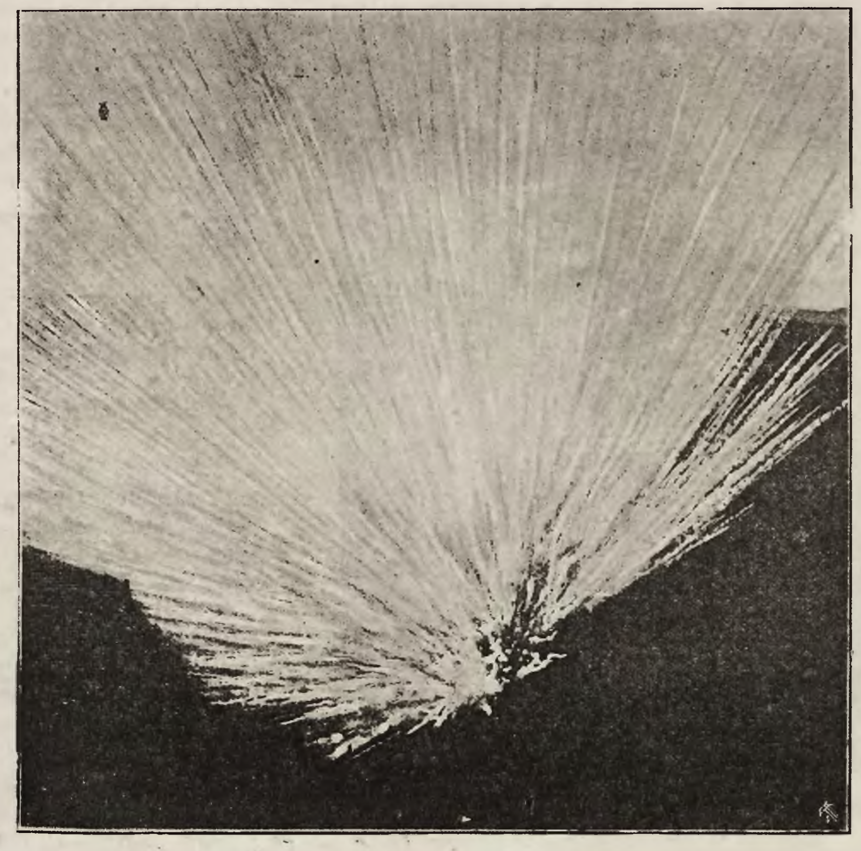
Sposoby wydobywania okrętów z dna morskiego są rozmaite, zależnie od tego, w jakich warunkach okręt zatonął i w jakiej znajduje się głębo-



Z wojny ros.-jap.: Admirał Togo przyjmuje w swej kajucie na pancerniku „Mikesa“ angielskiego korespondenta.



Z wojny ros.-jap.: Wybuch miny koło pagórka „203 metrów“ podczas oblężenia Portu Artura.



Z wojny ros.-jap.: Wybuch miny pod fortem Erlungschan podczas oblężenia Portu Artura.

kości. O wydobyciu wielkiego okrętu, który tonąc, wywrócił się dnem do góry — jak się to stało z pancernikiem „Borodino“ w ostatniej bitwie morskiej — nie może być mowy. Najłatwiejszem stosunkowo jest wydobywanie okrętów, które bodaj częściowo sterczą nad wodą. Wypadek ten zachodzi obecnie pod Portem Artura. Okręt taki musi być przedewszystkiem dokładnie zbadany przez nurków, jakie ma uszkodzenia w kadłubie i czy uszkodzenia te dadzą się bodaj doraźnie naprawić, tak, aby dostęp wody z zewnątrz okrętu został odcięty.

Gdy to jest możliwe, zatyka się wszelkie dziury blachami, poczem ustawia się pompy i wydobywa wodę z okrętu. Usunięcie pewnej części wody już pozwala poruszyć okrętem, a wtedy można być pewnym, że kosztowna praca zostanie uwieńczona powodzeniem. Do badania okrętów zatopionych i do wykonywania pod wodą potrzebnych reperacyj, wynaleziono w ostatnich czasach specyalne aparaty i umyślne łodzie podwodne. Pierwszą tego rodzaju łódź zbudował inżynier amerykański, Simon Lake; ma ona 10 metrów długości a 3 szerokości. Urządzona jest tak, że nurkowie mogą wychodzić z niej i wchodzić z powrotem, zabierać ze sobą potrzebne narzędzia i t. p. Łódź oświetla pod wodą znaczną przestrzeń, w której wszystko dokładnie można widzieć. Ulepszenia w tego rodzaju łodziach poczynił w ostatnich latach John Holland, z Nowego Yorku, który podobno obecnie porozumiewa się z rządem japońskim co do rozpoczęcia robót około wydobycia okrętów w Porcie Artura. Holland zamiast wynagrodzenia żąda, aby mu przyznano trzecią część tego wszystkiego, co z głębi morza wydobędzie. Rząd japoński ogłosił konkurs na wydobycie zatopionych okrętów, wątpić jednak należy, czy znajdzie się ktoś, coby przedstawił większe gwarancye, a dla Japończyków dogodniejsze warunki, aniżeli wspomniany inżynier amerykański.

Kiedy już mowa o okrętach, pomówmy jeszcze o nazwach okrętów japońskich.

Tak często obecnie omawiane okręty japońskie otrzymały swe nazwy częścią od zjawisk natury, częścią dla uczczenia szczególnie pięknych miejsc ojczyzny, lub poetycznych legend.

Do pierwszej kategoryi należą np. torpedowce: „Kasumi“ — mgła; „Asagiri“ — mgła poranna; „Yugiri“ — mgła wieczorna; „Akatsuki“, „Szinonome“, „Akobono“ — świt; „Szirakomo“ — biały obłok; „Usugomoro“ — obłoczek; „Harusame“ — wiosenny deszczyk; „Murasame“ — ulewa; „Inazuma“ — błyskawica; „Ikazuchi“ — piorun; „Sziranuki“ — ogień.

Wielkie okręty wojenne nazwano wedle gór i grodów Japonii. Jeden z tych okrętów nazywa się takcsamo, jak słynna góra „Fudżi“, inne „Asana“ (od wulkanu, którego posiadaniem szczyci się Japonia), „Hieyi“ (góra nieopodal Kioto), „Jaejama“ (góra w prowincyi Sagami) i t. p. „Niitaka“ — nie „Miitaka“, jak mylnie podawano w sprawozdaniach z bitwy pod Cuszimą — jest nazwą najwyższego szczytu na Formozie, zwanego przez europejskich geografów Mount Morrison. Podobnego pochodzenia jest nazwa krążownika „Iwate“. — Okręt „Mikasa“ uczczony został nazwiskiem góry pod miastem Nara, „Hatsuse“ zaś przypomina dawną rezydencyę cesarzy Jurgaku, podobnie, jak „Szikiszima“ otrzymała nazwę od dawnej stolicy cesarzy Jamato — „Azuma“ (moja żona) zwie się wschodnia część Niponu.

Odrębny system nomenklatury zastosowano do kilku tylko okrętów. Tak np. „Chitose“ zawiera w sobie życzenie, znaczy tyle, co „Tysiąc lat“.

Ważnem i historycznie znamiennem następstwem dotychczasowego przebiegu zwycięskiej dla Japończyków kampanii wschodnio-azyatyckiej jest rychłe wydźwignięcie się Japonii na czoło państw i ludów azyatyckich. Japonia zaczyna już teraz, pomimo, że losy wojny jeszcze nie rozstrzygnięte, grać rolę wielkiej, wszechazyatyckiej potęgi, a mnożą się wskazówki, że pragnie objąć w Azyi tę rolę, jaką przyswoiły sobie w Ameryce Stany Zjednoczone, będące dziś osią polityczną całej tamtej części świata.

Emisaryusze japońscy przebiegają już dzisiaj Indo-chiny francuskie, odzyskanie bowiem tych okolic, bezpośrednio sąsiadujących z kolosem chińskim, walącym się do stóp Japonii, wydaje się dla mężów stanu w Tokio zagadnieniem najpilniejszem. Za pieniądze japońskie zaczyna objawiać się także



Z wojny ros.-jap.: Mina wybuchająca w podkopach japońskich koło fortu Erlungschan podczas oblężenia Portu Artura



Z wojny ros.-jap.: Komendant twierdzy władywostockiej generał Kazbek.

potężny wpływ japonofilski w Persyi. Powstają w Teheranie gazety, które na czele programu swojego postawiły przeistoczenie na modłę japońską stosunków perskich, wciąż jeszcze dzikich, wzywają instruktorów japońskich dla przekształcenia armii miejscowej na wzór japońskiej i wysyłają młodzież perską do szkół wojskowych w Japonii.

Tak to, od szczepu do szczepu, od świątyni do świątyni, płyną w Azyi wieści o narodzeniu się wielkiej potęgi narodowo-azyatyckiej, która wypędzi najeźdźców europejskich z Azyi i Buddę postawi napowrót na dawnym piedestale. Rozmiary małego wyspiarskiego państwa japońskiego olbrzymieją w tych religijno-politycznych legendach, roznoszonych przez płatnych emisaryuszów i dobrowolnych entuzyastów japońskich wśród Azyi. Budzi się na wielkich jej przestworach, wobec których Europa jest karlicą, nowy, świeży prąd odrodzenia wszechazyatyckiego, który może z czasem nie podobać się nawet – Anglikom w Indyach.

Wojna, w takich rozmiarach jak ta, w których się obecnie toczy w Azyi, wyczerpuje największe zasoby i największe skarby, lecz przedewszystkiem wymaga gotówki. Rosya nawet w sprzymierzonej Francyi nie może już znaleźć pożyczki. Nie chcąc zaś zupełnie zniweczyć swojego kredytu, nie odważy się tknąć złotej rezerwy, którą istotnie posiada. Wewnętrzne stosunki nie pozwalają wróżyć pożyczce krajowej powodzenia, a największe nawet zasoby martwe nie mogą sprostać potrzebom wojny, bo te wymagają, powtarzamy raz jeszcze, gotówki, a tej Rosya coraz mniej ma do rozporządzenia.

Siła morska Rosyi jest zniweczona; wybrzeża aż do bram Petersburga odsłonięte niebezpiecznem poświęceniem na marne floty bałtyckiej; na morzu Czarnem Rosya prawie niema floty, bo ta, która się tam znajduje, jest niedostateczna i tak słaba, że jej nie można brać w rachubę.

Na lądzie przewaga Japonii w tej chwili jest tak wyraźna, że w razie przedłużenia walki oczekiwać musimy jedynie nowej wielkiej klęski Rosyan. Liniewicz jest zdolnym i doświadczonym, poważnym i poważanym dowódcą, przez wojskowych i wojsko cenionym. Liniewicz jednak jest starcem i — zdaniem świadków, uznających wszystkie jego przymioty — długo nie podoła równie olbrzymiemu, jak i niewdzięcznemu zadaniu.

Tak więc wszystko składałoby się na to, że jeżeli kiedy, to teraz właśnie nadeszła pora, ażeby Rosya zawarła pokój i w ten sposób zapobiegła dalszemu bezowocnemu rozlewowi krwi. Nie pozwalała jej duma, aby pierwsza rozpoczęła kroki pokojowe, Japonia zaś po tylu zwycięstwach czuła się również za dumną, aby prosić o pokój, teraz, kiedy jej mocarstwowe stanowisko po tylu zwycięstwach jak pod Liaojanem, Mukdenem i Cuszimą wzrosło. Trudnego zadania pośrednictwa między wojującemi mocarstwami podjął się prezydent Roosevelt. Szczere jego chęci znalazły poklask i na dworze Mikada i w Petersburgu, kiedy jednak doszło do tego, że trzeba się było na seryo wziąć do rzeczy, kiedy trzeba było zawrzeć zawieszenie broni i wyznaczyć pełnomocników do rokowań pokojowych, car z namowy wielkich książąt, jak zwykle, począł się ociągać i do dziś dnia jest niezdecydowany. Japonia milczy, tak jak na jej godność i dotychczasowe sukcesy przystało. Jej nie chodzi o szybkie zawarcie pokoju. Dlatego też wytworzyła się bardzo ciekawa sytuacya, że w chwili, kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych dokładał wszelkich starań, aby dzieło pokoju, przez cały cywilizowany świat pożądanego i oczekiwanego, przyprowadzić do skutku, na polach mandżurskich rozpoczęły na nowo grać armaty, tworząc jakoby preludyum do nowej bitwy.

I co się dzieje?

W chwili, kiedy niedołężny car skłania się już ku propozycyom Roosevelta, pojawia się jeszcze ze strony jenerałów, znajdujących się obecnie na polu wojny, protest przeciw pokojowi. Mianowicie generał Liniewicz przesłał, czy też miał przesłać na ręce cara następujący list:

„Wasza Cesarska Mość! Dowiedziawszy się o usługach, ofiarowanych przez prezydenta Roosevelta i o zgodzie Waszej Cesarskiej Mości na rozpoczęcie rokowań pokojowych, zebrałem natychmiast najwyższą radę wojenną, złożoną ze wszystkich wodzów armii, obecnych w tej chwili w kwaterze głównej. Omówiwszy pobudki pokoju i wzajemne pozycye obu wojsk, mam zaszczyt przypomnieć Waszej Cesarskiej Mości, że wszyscy moi koledzy i ja, oświadczyliśmy się jednomyślnie i energicznie za prowadzeniem wojny w dalszym ciągu aż do dnia, w którym Wszechmocny uwieńczy powodzeniem nasze waleczne wojska.

Nie pora mówić o pokoju po bitwach pod Mugdenem i Cuszimą. Nieprzyjaciel, upojony powodzeniem, będzie wymagał z pewnością warunków sprzecznych z honorem naszej ojczyzny. Nie ma jednak powodu przyznawać mu ich, ponieważ nie jesteśmy doprowadzeni do tej ostateczności. Klęska pod Cuszimą jest niezawodnie smutnym wypadkiem, ale nie ma żadnego związku z naszą waleczną armią, która jest w świetnym stanie i płonie pragnieniem pomsty nad nieprzyjacielem przez osiągnięcie powodzenia, które – mam nadzieję — nie jest dalekie. Stanowiska naszych wojsk są wybornie ufortyfikowane. Pora deszczowa przeszkodziła mi w rozpoczęciu kroków zaczepnych aż do tej chwili, ale teraz, kiedy nasze straty mugdeńskie już zupełnie zastąpiono i kiedy nasze armie wzmocnione zostały przez nowe korpusy, przybyłe z Europy, czuję się na siłach stawić czoło z powodzeniem wysiłkom nieprzyjaciela. Mam nadzieję, że będę mógł w ciągu tego miesiąca rozpocząć działania zaczepne, które zmienią zupełnie postać rzeczy. — Powtarzam raz jeszcze, że Wasza Cesarska Mość może mieć zupełne zaufanie do siły i potęgi naszych wojsk i że nasza pozycya nie ma wcale charakteru krytycznego, któryby mógł wymagać zawarcia pokoju na warunkach niekorzystnych dla Rosyi.

Gunczulin, 10 czerwca 1905.

Naczelny wódz: *Liniewicz*. Wodzowie armi: *Kuropatkin, Kaulbars, Batianow.* Generałowie: *Rennenkampf, Zarubajew, Bilderling, Lwow, Samsonow, Daniłow, Korf.*

Protest ten, aczkolwiek jego wpływ na losy przyszłych rokowań pokojowych może być oceniany bardzo różnie, należy jednak w każdym razie do objawów bardzo interesujących. Armia, w ręku cara samowładcy, podniosła głos przeciw przyjętym przez cara „dobrym usługom“ Roosevelta, a co więcej, przeciw pokojowi wogóle. Wystąpiła więc jako samodzielny czynnik dyplomatyczny. Uprawnienie do takiej roli byłoby wątpliwe nawet wtedy, gdyby przyszły pokój miał zmarnować bohaterskie wysiłki i zwycięstwa armii. Wobec losu, jaki spotyka wojska rosyjskie od początku kampanii, aż do tej chwili, demonstracya wodzów rosyjskich wychodzi na prośbę, aby w dalszej wojnie pozwolono im zagładzić wspomnienia dotychczasowych klęsk. Prośba ta nabiera jednak szczególnego znaczenia, jeśli się zważy, że wszelkie zapowiedzi zwycięstwa ze strony rosyjskiej zawodziły tem rychlej, im z większą pewnością siebie je wygłaszano. Dość przypomnieć słynną zapowiedź ofenzywy nad Szaho, która w praktyce znalazła jak najbardziej opłakane zakończenie. To też orędzie generałów rosyjskich, zapowiadające zwycięstwo, jest zwrotem nader wątpliwej wartości.

Z jakiegokolwiek zatem stanowiska będziemy roztrząsać to orędzie, w każdym razie uznać je musimy za niepoprawne i nieodpowiednie. Chyba, że wysłanie go było grą ukartowaną, próbą nacisku na Japonię przy dyktowaniu warunków pokojowych. Rosya chciała przypomnieć swą potęgę, jaka się mieści w armii Liniewicza i może zagrażać zwycięstwem na lądzie. Środek to jednak nieskomplikowany, nie wywarł też spodziewanego wrażenia, jeśli na niego liczono.

Warunki, pod jakiemi Japonia chce zawrzeć



Z wojny ros.-jap.: Prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt.

pokój, mają być, wedle doniesień angielskich, następujące:

1. Rosya musi zrzec się wszelkich pretensyi do wpływów specyalnych na dworze chińskim. 2. Rosya musi cofnąć wszystkie wojska swe z Mandżuryi i terytoryum chińskiego i zobowiązać się do utrzymywania w tych częściach terytoryum rosyjskiego, które przylegają do Chin, tylko tyle wojska, ile potrzeba dla utrzymania pokoju i obrony. 3. Dzierżawa Portu wraz z innemi częściami półwyspu Laotuńskiego, dzierżawionemi przez Rosyę, ma być przelana na Japonię. 4. Część kolei transsyberyjskiej, przechodząca przez terytoryum chińskie, ma być odstąpiona Japonii wraz z pasem ziemi szerokości jednej wiorsty po obu stronach kolei, dla lepszego jej zabezpieczenia. 5. Rosya ma uznać protektorat japoński w Korei. 6. Fortyfikacye Władywostoku mają być usunięte, a port zamieniony z wojennego na handlowy. 7. Wyspa Sachalin ma być zwrócona Japonii. 8. Japonii ma być wypłacona indemnizacya dla pokrycia kosztów i strat.

Opinia publiczna w Japonii domaga się jednogłośnie rozbrojenia Władywostoku, uważa bowiem port ten za niebezpieczeństwo jawne dla Japonii. Utrzymanie przez Rosyę wielkiej floty na Dalekim Wschodzie uważaliby Japończycy za dowód, że Rosya trwa w postanowieniu rozpoczęcia w przyszłości wojny odwetowej.

Czy jednak do pokoju przyjdzie, i kiedy przyjdzie — o tem dzisiaj jeszcze mówić nie możemy. O ile wiadomo z Petersburga, kamaryla dworska wmówiła w cara, że dalsze prowadzenie wojny jest koniecznością. Car więc tak prędko na pokój się nie zgodzi. Tem mniej zaś zależy na pokoju Japonii.

Na załączonych w dzisiejszem numerze rycinach widzimy dwa obrazki z życia admirała Togo, mianowicie Toga w jego kajucie na pancerniku „Mikasa“, rozmawiającego z jednym z korespondentów wojennych, który mu złożył wizytę po wspaniałem zwycięstwie Togi pod Cuszimą, oraz Toga, w szpitalu w Saseho, u łóżka ciężko chorego Rożdestwieńskiego. A więc naprzód w kajucie na „Mikasie“. Kajuta ogółem urządzona bardzo skromnie, jedyną jej ozdobę stanowią dwie olbrzymie kule, wyjęte prawdopodobnie z „Mikasy“ po pierwszych bitwach z Rosyanami jeszcze pod Portem Artura. Togo, skromny, jak każdy rzeczywiście wielki człowiek, opowiada korespondentowi, skąd się te kule wzięły w jego kajucie. Na drugiej rycinie, widać Toga, rozmawiającego z chorym Rożdestwieńskim. Wódz rosyjski podniósł się trochę, jakby chciał lepiej przyjrzeć się temu człowiekowi, który całą jego flotę pogrążył w falach cieśniny Krusensterna. A japoński admirał patrzy nań przyjaźnie, nie jak na pobitego, ale jak na równego sobie admirała.

Cztery nasze ryciny przedstawiają straszliwe działanie min podziemnych, które tak się dały we znaki wojskom japońskim, oblegającym Port Artura. Wybuch miny i rozmiary zniszczenia, jakie wybuch taki powoduje, zależą od gruntu, na którym wybuchają. W podpisach pod kliszami podaliśmy dokładnie miejsce wybuchu min, zdjętych podczas oblężenia przez angielskich korespondentów.

Podajemy również portret prezydenta Roosevelta, który usiłował pośredniczyć przy zawarciu pokoju Rosyi z Japonią.

KRONIKA LWOWSKA.

(Nasza czarna niewdzięczność.— Pan Lityński jako fachman artystyczny. – Filharmonia zrobiła miejsce słowikom. – Kto wybudował Filharmonię? – Reduty. – Bilans czynów, czy bilans dochodów. – Inny miłośnik sztuki. — Pan Naftuła *junior* skąpany w Kunerolu. – Pochodzenie obrazów. — Kto bywa u p. Naftuły? – Jak się kupuje obrazy? – Ważna reklama. – Potrzeba rozszerzenia lokalu. – „Zakopane“ u Naftuły. – Ściany a obrazy.— Zamiast na strych, niech idzie do muzeum. -- Ale waruneczek. – Napis. – Odmowa. – Druga propozycya Naftuły, ale waruneczek pod spodem. – Pan Michalski ma obie ręce zajęte. – Stara rada a nowa. — Co robili rajce? – Pożegnanie p. Michalskiego i list Małachowskiego.—Kto będzie prezydentem?— Spryt p. Michalskiego. – Jego odpowiedzi. — Wypróżnianie się miasta – Teatr podzielony na trzy partye. – Dokąd chodzimy – Fabryka katarów żołądkowych. – My nie boimy się piekła).

Nasza czarna niewdzięczność nietylko wejdzie kiedyś w przysłowie, ale powstaną o niej pieśni ludowe, do których następnie dorobi muzykę jeden z domorosłych kompozytorów, ażeby je w końcu odśpiewać w lwowskiej Filharmonii lub w innem podobnem miejscu.

Pan Leopold Lityński, dzierżawca gmachu Skarbkowskiego, czekał dotychczas cierpliwie, ażeby któryś z lwowskich recenzentów muzycznych napisał fachowy artykuł z ubiegłego „sezonu“ filharmonicznego, a skoro spostrzegł, że recenzenci rozjechali się, a artykułu jakoś nie widać, ściągnął surdut, zakasał rękawy, zasiadł do biurka i — sam napisał nekrolog p. t. Filharmonia lwowska. Artykuł p. Lityńskiego, z którego „wieje poezya“ czy coś podobnego, a z każdego słowa „przebija się gorące umiłowanie sztuki“ zasługuje na przeczytanie, choćby na to, ażeby się uśmiać serdecznie.

Już na samym początku pisze p. Lityński: „Jedna z muz, ożywiających życie duchowe naszego miasta, spoczywa snem lata, robiąc miejsce słowikom i nieśmiertelnej pieśni odrodzonej natury. Czas najwyższy, ażeby zrobić bilans czynów i usiłowań instytucyi, która tak wiele w ostatnich czasach budziła zainteresowania publicznego...“ Potem następuje kilka „głębokich“ myśli o „zróżniczkowaniu się“ sztuki, poczem p. L. odsyła operetkę do tinglu, a operę do Filharmonii, w teatrze z muzyki nie zostawiając ani jednego tonu. Dalej kilka ostrych wyrzutów pod adresem recenzentów, którzy śmieli krytykować „młodą instytucyę“, a potem następuje już historya lwowskiej Filharmonii, z której wynika całkiem jasno, że p. Lityński ciągle „chce iść naprzód“. Święta prawda! Ale w czem? W gromadzeniu kapitałów.

Pan L., który nagle występuje teraz jako apostoł sztuki, jest sobie całkiem zwyczajnym spekulantem, którego jedyną pobudką „wybudowania“ Filharmonii (zdaje mi się, że „wybudował“ ją kto inny, a p. L. ją tylko... podreperował) był — czysty geszeft. W imię tego geszeftu p. Lityński wydzierżawił salę Hellerowi, a w jeden rok potem tę samą salę pozwolił wydzierżawić na tingel p. Thornowi, który przecież miał tam urządzić Colosseum. Na cóż to teraz drapować się w piękne piórka i udawać apostoła sztuki?

Co prawda—kiedy Heller zbankrutował w Filharmonii, a prasa nie pozwoliła tam urządzić Coloseum, p. Lityński sam zamianował się dyrektorem Filharmonii, w braku orkiestry zaangażował bandę wojskową i raz w miesiącu przez cały sezon ubiegły udawał Filharmonię. Że nikt tego nie brał na seryo, dowodem jest powodzenie. Mimo całkiem niskich cen publiczność nie chodziła na koncerty wojskowe. To było do przewidzenia. Z drugiej strony p. Lityński nie wspomina w swojem artystycznem sprawozdaniu z ubiegłego sezonu o redutach, urządzanych w Filharmonii każdej soboty. Te przecież miały lepsze powodzenie a tych prasa wcale nie krytykowała i owszem zachwalała je z góry, reklamowała, zapowiadała „huk niespodzianek“ i „niebywały program“. Czy te reduty, ten największy skandal Lwowa, urządzane systematycznie przez cały sezon w sali, która przez tyle lat była świątynią sztuki, czy one mało świadczą o zmyśle artystycznym i zamiłowaniu do sztuki p. Lityńskiego?

A przecież p. Leopold Lityński, autor „Odrodzenia ekonomicznego Galicyi“, który gmachem dzierżawionym bardzo ekonomicznie ze względu na swą kieszeń zawiaduje, gotów – jak z tonu jego artykułu wynika—wypietrasić drugą broszurę p. t. „Odrodzenie artystyczne Galicyi“.

Jego „bilans czynów“, których nikt nie widział i widzieć nie był ciekaw, powinien był stanowczo zostać w teczce wśród tych wszystkich bilansów dzierżawy gmachu, w których widnieje zmysł kupca-spekulanta, a z których wynika, jak bardzo p. Lityński zbiera lokatorów gmachu Skarbkowskiego, lub ich ze wszystkiem na bruk wyrzuca, wynajmując większą część gmachu na biura urzędów skarbowych...

Skoro zaś taki spekulant poważa się robić publicznie bilans artystyczny i sam się pasuje na apostoła sztuki, należała mu się bodaj ta pobieżna odprawa.

Innym znawcą i miłośnikiem sztuki jest pan Naftuła *junior*, czyli *pleno titulo* Michał Szymon Toepfer, właściciel znanej, zachwalanej, uczęszczanej, renomowanej restauracyi na świeżem maśle „Kunerol“. Ale podczas gdy p. Lityński „robi“ tylko w muzyce, to p. Naftuła całym ogniem skąpanej w Kunerolu duszy grawituje wyłącznie ku malarstwu.

Pan Naftuła ma w swojej renomowanej jadłodajni dużo obrazów i obrazków. Pochodzenie tych dzieł nie jest tak prostem, jakby się może wydawało. Pan Naftuła nie poszedł do pracowni malarskiej, albo na tandytę pod bożnicą, ażeby zakupić jakieś obrazy. Nie! Pan Naftuła jest restauratorem wprawdzie, ale przytem kultywuje sztukę. Ma wogóle zamiłowanie do malarstwa. Wprawdzie rozumie się o wiele lepiej na wieprzowej z kapustą, aniżeli na pejzażu, lub akwareli, ale ma i w tę stronę jakiś pociąg, który wyrobił się w nim pomału, ale stanowczo. Jak to się stało? Krążą o tem między kelnerami tej znakomitej restauracyi rozmaite gadki, z których żadna dotąd urzędowo nie została sprawdzoną. Najznakomitszy we Lwowie restaurator pan Naftuła *junior* miewa w swojej renomowanej restauracyi różnych gości. Bywa czasem profesor, bywa ajent policyjny, zachodzi tu i ówdzie student, czasami poeta, od czasu do czasu dziennikarz, gdzieniegdzie aktor, albo i feldwebel, więc może tak samo dobrze zajść i malarz. Ale że artysta-malarz nie zawsze ma pieniądze, kiedy maluje i nie zawsze płaci, kiedy je, więc p. Naftuła *jun.* miękkim człowiekiem z natury będąc, daje czasem obiadek lub kolacyjkę na „puf“, ale pod waruneczkiem... Za wygodę — wygoda. „To ciebie człowiecze (z każdym artystą, aktorem, malarzem czy poetą jest „per ty“) i tak nic nie kosztuje, przynieś jakieś płótno, to tu się zawiesi, ot, widzisz, tu,—sługa pana dobrodzieja—to będziesz nawet miał szaloną reklamę, a tu jak ci wiadomo zachodzą rozmaici i baron i hrabia i jenerał—sługa pana barona, moje uszanowanie—to widzisz, może który spytać, czyj to obraz, a ja posyłam wprost do ciebie, uważasz, i bierzesz za pierwszy lepszy bohomaz stówkę, uważasz, jak nic, *eviva l'arte!* co? więc przynieś, a ja znów nie taki twardy, możesz i jutro przyjść na obiad, nawet na kolacyę, a może ci potrzeba drobnych, zdaje mi się, żem ci winien 5 koron, co, prawda, dobrze, żem sobie przypomniał, więc jutro posyłam do ciebie Michałka — ty mały, dajno tu dwa duże...“

I tak p. Naftuła *junior* pomaleńku zebrał sobie całą „galeryę“. Lecz, że naszym nieznanym jeszcze malarzom ten łatwy zbyt wprost imponuje, a apetyt mają, jak szach perski, więc zebrało się tego „paskudztwa“, jak powiada p. Naftuła *junior*, jak mrowia. Tymczasem okazała się potrzeba rozszerzenia lokalu. Na piętrze urządzono t. zw. „Zakopane“ dla inteligencyi, t. j. dla starszych feldweblów, co znakomitszych kupców, fabrykantów cukierków i pierników, autorów dramatycznych tudzież demokratycznych polityków i dziennikarzy. Na ścianach, gdzie dotąd wisiały wiekopomne dzieła galicyjskiego, specyalnie lwowskiego pędzla, trzeba było urządzić szaragi dla filisterskich kożuchów, paletotów, cylindrów, czapek i czak i porozwieszać ogłoszenia i dzienniki. Powiedział tedy p. Naftuła do swojej duszy:

– Ma ta tandyta iść na strych, gdzie myszy potruje, albo zasmrodzi mi grzybki i kiszone ogórki, to niech lepiej idzie do muzeum miejskiego, a imię moje nietylko wśród gości, kelnerów i restauratorów się podniesie, ale przejdzie do historyi miasta Lwowa. Ale... waruneczek. Dam wam obrazy — powiedział p. Naftuła—ale musicie mi dać na te obrazy osobny pokój, gdzieby żaden malarz, lub inny restaurator nie mógł wywiesić swoich obrazów, a pokój ten nosić ma napis: „Zbiór obrazów restauracyi Naftuły—dar Szymona Michała Toepfera — Lwów, ul. Trybunalska 12 — wdzięczne społeczeństwo pamiętaj o nim!“ Zarząd muzeum odmówił, motywując tem, że za mało obrazów, ażeby wypełnić cały pokój. Wtedy pan Naftuła zawołał wielkim głosem: — Dam wam pełny pokój obrazów, ale waruneczek ten stawiam, że prócz powyższego napisu umieścicie mi pod spodem spis i cennik potraw mojej najlepszej i najtańszej, wogóle najznakomitszej we Lwowie restauracyi.

Toczą się obecnie narady i rokowania, czy przyjąć ten warunek. Zdaje się, że będzie przyjęty.

Tymczasem p. Michalski miał obie ręce zajęte, bo naprzód musiał pożegnać starą ustępującą radę, a zaraz potem powitał nowo wybranych radnych. Ustępującym radnym dziękował czule pan Michalski za „pracę“ zawsze „pełną poświęcenia“, czego najlepszym dowodem było, że ich ponownie do rady nie wybrano. Z żalem żegnali ustępujący rajcowie swoje miejsca, gdzie tyle przyjemnych godzin przedrzemali, nie naprzykrzając się broń Boże nikomu, a kiwając tylko głowami, ile razy zbudzono ich do głosowania. Teraz „spadł im ten ciężar publiczny“ z głowy, a inni, nowi objęli ich krzesła wygrzane. Pan Michalski żegnał jednych, a witał drugich i zachęcał do „pracy“ i do „pilności“. Czynił to w zastępstwie prezydenta Małachowskiego, który nawet nie pojawił się na ostatniem pożegnalnem posiedzeniu rady, a tylko przysłał z Wiednia list pożegnalny, pełen „łez i krwi“, w którym wylicza wszystkie swoje zasługi nie na to, ażeby siebie pochwalić, ale, ażeby były wzorem dla przyszłego prezydenta.

Prezydentem Lwowa będzie zdaje się p. Michalski, choćby dlatego, że najlepiej umie odpowiadać na niewygodne interpelacye. Odpowiedzi jego są istotnie dla kołtuneryi miejskiej czemś doskonałem, zadawalniają bowiem wszystkich, choć są tylko zręcznym wykrętem. Radny zrobił swoje, bo interpelował, prezydent odpowiedział i przyrzekł zrobić wszystko (on nigdy nie odmawia), a sprawa bierze w łeb, przeważnie z winy rządu.

Lwów już od kilku tygodni wypróżnia się. Sezon ogórkowy rozpoczął się na dobre, choć jeszcze nie zapanował w całej pełni, jak długo młodzież szkolna nie wyjechała na wakacye. Część mieszkańców i to ta górna „lepsza“ bawi się na wsi, u wód, nad morzem. Świadczą o tem stale nie podnoszące się story w wielu mieszkaniach i coraz liczniejsze kradzieże.

Teatr podzielił się na trzy partye. Operetka śpiewa w Krakowie, dramat tryumfuje w Kijowie, a w teatrze miejskim we Lwowie przedstawienia odbywają się co drugi dzień. Idą same farsy francuskie pod wyborną reżyseryą Wysockiego. Teatrem kieruje dyr. Pasławski.

Ludzie jednak nie bardzo chodzą do teatru, a gorąco pędzi ich do parków miejskich, gdzie wilgoć przyjemna i do ogrodu pojezuickiego, gdzie stoi pomnik Gołuchowskiego i gdzie policyant w dzień i w nocy uważa, aby p. Gołuchowski nie zlazł mimowoli z piedestału. Przy tej sposobności można wdepnąć do restauracyi Rudolfa, gdzie przy dźwiękach kapeli wojskowej wyrabiają się rozmaitego gatunku katary żołądka, zatrucie kiszek nieświeżem mięsem i inne letnie, lwowskie przyjemności.

W jednym z najbliższych fejletonów przedstawię Wam szczegółowo, jak wygląda Lwów podczas sezonu ogórkowego. Dziś tylko dodaję, że kto zawodem, lub stosunkami rodzinnymi zmuszony jest przepędzić lato we Lwowie, ten po najdłuższem życiu z pewnością kpić będzie z piekła i na sądzie ostatecznym po ogłoszeniu wyroku skazującego na wieczne przebywanie w piekle zawoła z uśmiechem:

— Nic mi nie zrobicie, ja kpię z was, mieszkałem w lecie we Lwowie! *Klewe.*

Kącik humorystyczny.

Jeżeli.

On: Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, za tydzień będę znów przy tobie, chyba dochowasz mi wierności?

Ona: No tak — jeżeli wszystko pójdzie dobrze!

Z filozofii codziennej.

Największym niewolnikiem jest — kto najwięcej potrzebuje.

Kto chce grać w różne skrzypce — nie powinien mieć zbyt delikatnych strun.

Po kupiecku.

— Czy to prawda, że żenisz się z panną Irmą córką szefa? Ależ ona jest straszna!

— Nic nie szkodzi! Wszak biorę nietylko Irmę — lecz i firmę!

Dowód.

— Jak ci się zdaje, czy mojemu narzeczonemu zwrócić ofiarowane mi kosztowności?

— Czy ich zażądał?

— Bynajmniej.

— To zwrócić, bo w takim razie nieprawdziwe!

Mój Ś-to Jański kwiat.

(Z dawnych wspomnień).

Pięć razy postanawiałem przezwyciężyć ten głupi jakiś lęk — zapytać o cośkolwiek mojego cudnego vis a vis... i pięć razy zadławiło mnie.

Przecież to chyba nic łatwiejszego a jednak... Et!... psiakrew!...

Kiedy ja się pozbędę tego idyotycznego onieśmielenia wobec kobiet?

Jaka ona przepiękna!

Oczy wielkie, czarne, smutne i gdyby bólem załzawione.

Płeć — barwa herbacianej róży purpurą wiosennego brzasku zbarwiona!

Usta ponętne jak grzech.

Zęby gęste, białe, jak groch dojrzały w dorodnym strączku zwarty.

Włosy zawojem na kształtnej głowie spięte, złotemi nićmi rozwichrzonych promyków aureolą lśniące.

A ona cała, wyniosła, gibka, o wężowych ruchach dziewczyna, to szał... szał... i jeszcze raz szał maltretujący mnie potęgą uroków.

Milczę!

Mocuję się z sobą... płonę i drżę.

. . . .

Wszedł konduktor kontrolować bilety.

Zaćmiło mnie! Ona jedzie do nas — do Brzostówka!

No! Teraz mam prawo rozpocząć rozmowę:

— Pani dojeżdża do Brzostówka?

— Tak, panie.

— A potem?

— Jadę końmi.

— Daleko?

— Dosyć daleko.

— Wolno zapytać, dokąd?

— Do dziadka... na wakacye... do Zgoran.

— To niepodobieństwo!

Roześmiała się serdecznie, kaskadą miękkich minorowych tonów.

— Do Zgoran? Pani do Zgoran jedzie?

To cudownie! Do kogo pani tam jedzie?

Śmiała się ciągle.

— Do dziadka, mówiłam panu.

— I ja jadę do dziadka... do Zgoran... na wakacye! Jestem Rembosz.

Zarumieniła się i skryła bezdenne oczy pod osłonę rzęs.

— Mój dziadek jest w Zgoranach dzierżawcą młyna.

— Abe?

— Tak, panie... Stary Abe...

W przeciągu kwadransa wiedziałem wszystko: Helena Ciechanowska... córka doktora... wnuczka sędziwego Abe, dzierżawcy młyna i propinacyi w Zgoranach.

Skończyła pensyę... jedzie odpocząć na wsi, by potem kształcić się dalej zagranicą. Wsi nie zna zupełnie, ale wie co jest społeczeństwo. co ojczyzna, co jest piękne, co prawda, co obowiązek... Zna całą naszą literaturę. prądy, kierunki jej!... Czci Kasprowicza — cytuje go. Uwielbia Wyspiańskiego — cytuje go. Zachwyca się Zawistowską... cytuje ją!...

Gwałtu! W głowie mi się kręci. Jestem w rozpaczy!

Jak wizya raju przemknęły po mej głowie marzenia najrozkoszniejszego przepędzania razem wakacyi i... prysły, bo... stanowczo jestem dla niej za głupi.

. . . .

Brzostówek!

Po mnie przysłano naturalnie mój ulubiony wolant i ulubioną czwórkę węgrzynów.

Po nią wygodny, ale zwyczajny stary wasąg z półkoszkami i dychawiczne od osypki chabety.

Upierała się jechać z jednookim Szmulem... przemocą prawie zabrałem ją z sobą...

Grzesiek palnął siarczyście z bata i pomknęliśmy w pełną, pełną woni i czarów noc wiosenną, przytuleni do siebie, tak bardzo... bardzo już bliscy sobie!

. . . .

— Proszę dziadka!

— Czego chcesz?

— Abe przyszedł.

— Niech poczeka w przedpokoju.

— Może poprosić do kancelaryi?

— Mówiłem waści, niech czeka w przedpokoju. Przecież to jest świństwo!...

Ale teść uczonego, znanego w szerokim świecie doktora... zacny... poczciwy starzec ma czekać w przedpokoju! Abe, dziadek panny Heleny, ma czekać w przedpokoju!

— Kaziu!

— Jestem dziadku!

— Kogo ty wczoraj przywiozłeś ze sobą? Ha! Zemszczę się za Abego!...

Opowiedziałem wszystko z zapałem uwielbienia dla znakomitego doktora, ojca Heleny... z zapałem uwielbienia dla umysłowej kultury jej. — Dziadek słuchał... bardzo uważnie słuchał i zakończył moje pełne ognia opowiadanie lakoniczną uwagą:

— Miała przecież swoją furmankę!...

. . . .

Czar, jaki roztaczała Helena, opromieniał całe Zgorany, przesycał każdy atom powietrza!

Sypiać nie mogłem!... jeść nie mogłem... Sadi porastał w tłuszcz, stojąc bezczynnie przy żłobie... sąsiedzkie stosunki zaniedbałem... książki, przywiezione z miasta, leżały w paczce nierozwiązane — bo wszystko mi zastępowała jedna godzina przedwieczorna, gdy mogłem być przy Helenie... w lesie... nad stawem, co rozlewał się kręgiem świetlanym przed nami. — Słowa i myśli nasze plątały się w chaosie niedomówień banalnych, zwykłych, szarych, codziennych... ale one tak pięknie harmonizowały się z mojemi pragnieniami, z szumem lasu, z szeptem jeziornych fal, zapachem storczyków. z blaskiem przeświecających przez gęstwinę leśną promieni zachodzącego słońca, z wiosną mojego życia!

Pierś drgała! Żar wewnętrzny, rozkosz dający, wykwitał szkarłatem na twarzach, a w oczach naszych bardzo rzadko spotykających się, jaśniało nieznane dotąd szczęście, bez jutra, bez rachuby, bez rojeń!...

Wielkie, bo z żadnem innem uczuciem nie splątane szczęście!

Dłonie, drżąc przy powitaniu — splatały się silnie i trwały tak w wzajemnym uścisku, ssąc z siebie gorączkę prawie bolesną, a pożądaną!

. . . .

W środę pojechałem z dziadkiem do miasta.

We czwartek zabrali mnie państwo Władysławowstwo do Szacka.

W piątek kazał mi dziadek, zły i nadąsany czegoś okrutnie, czytać sobie gazety.

W sobotę miałem wypłacać robociznę... uciekłem do lasu... nad staw!

Helena nie przyszła!

W niedzielę nie przyszła, w poniedziałek także.

Dziadek ciągle zachmurzony — nie mówi do mnie.

Helena wcale nie przychodzi!

Po kolacyi pobiegłem do młyna, chciałem podkraść się pod okna... Strasznie złe psy Abe trzyma...

Na mój list nie odpowiedziała wcale.

Nie! Dłużej tak być nie może!

. . . .

Noc Ś-to-Jańska! Sobótki!

Dziadek, jak corocznie bywało, pozwolił na polanie leśnej rozniecić stosy ogniste, sprowadził muzykę z miasteczka, urządził poczęstunek i okiem zadowolonego patryarchy śledził z pod rozłożystego dębu ochoczą zabawę młodzieży zgorańskiej.

Wielkie ma czary w sobie taka jasna noc letnia.

Oświetlone refleksami ognia dziewczęta w szybkim korowodzie krążyły naokoło ogniska. rozdmuchiwanego pędem przeskakujących parobczaków, a tęskna rusińska melodya „kupały“ roznosiła się po lesie, przy wtórze muzyki i odległego echa.

Czarnooka, biodrzysta Paranka podeszła ku mnie, zapraszając do tańca.

Leśny wiatr, balsamiczny, chłodził nam rozpalone twarze — mknąłem z Paranką dokoła polany, coraz silniej cisnąc ją ku sobie, coraz lepiej wyczuwając falującą przyspieszonym oddechem jędrną pierś, wyrywającą się z pod tkaniny, coraz więcej znajdując upodobania w ostrym, ale drażniącym powonienie zapachu jej młodego ciała.

Zdawało mi się w tym tańcu, że wpadłem w samo zarzewie płonącego ogniska, bo płonąłem prawie jak ono, tchu mi brakło, w oczach migotały czerwone jakieś mgławice. Cisnąłem tak namiętnie, dziko i brutalnie Parankę do siebie, charczałem tak okropnie, nie mogąc oddechu złapać, że dziewczyna wrzasnąwszy z przerażenia, wyrwała mi się mocą i uciekła zziajana.

Z piersi mej bezwiednie wydarł się potężny, żywiołowy krzyk uświadomionego po raz pierwszy w życiu pragnienia — rzuciłem się na miękką, leśną murawę i prężyłem krzyż, tarzając się po ziemi aż do słodkiego omdlenia, bezwładzy.

Leżałem nieruchomy dysząc ciężko, obejmując żądnie spojrzeniem gibkie postacie, w lekkie perkaliki ledwie że odzianych dziewcząt — czułem każdą tętnicę własnej krwi, chwilowe zawroty głowy i jakąś niepohamowaną chęć objęcia tych wszystkich wirujących ciał kobiecych w takie żelazne uściski, ażby krew z tych młodych ramion na moje rozpalone skronie trysnęła i ochłodziła je.

. . . .

Skończyło się.

Ucichło wszystko, zdala tylko od czasu do czasu dolatywały odgłosy pieśni śpiewanych przez gromadki parobczaków, idących ku domom, na sen, na spoczynek.

Szedłem rośną, tumanem srebrzystym tuż nad trawami otuloną łąką, wdychając aromaty skoszonego siana, wsłuchując się w krzyki derkaczów, hukanie bąków i muzykę żab, rojących się po oparzeliskach.

Nagle... zdaleka... do rzeczki, co przecinała łąkę — dobiegł mnie krzyk, krzyk kobiecy... krzyk trwogi... krótki... urwany... przejmujący...

Przyspieszyłem kroku w tą stronę. Krzyk ten rozbudził we mnie przytłumione niedawno pragnienia. Dorodna postać biodrzystej Paranki zamajaczyła w mej wyobraźni... wytężyłem wzrok przed siebie... nasłuchiwałem!...

Coś zabieliło się w tumanie...

Stanąłem w nerwowem podnieceniu... w oczekiwaniu.

Lekkim powiewem, idącego od stawu wiatru rozwiane ku górze niedaleko od siebie — oblaną księżyca blaskami — ujrzałem Helenę.

Szalonym pędem biegła w moją stronę — w lekkiej, zaledwie osłaniającej jej ciało bieliźnie, z rozwiązanymi włosami, bosa, wydała mi się boginką, co wśród moczarów wabi ku sobie, zabierając życie młode za chwilę rozkoszy.

Spostrzegła mnie i bezprzytomna padła mi w ramiona.

Szaloną walę stoczyłem z sobą, by zebrać myśli. Cuciłem długo: rosą z traw, wodą z pobliskiego jeziorka łącznego — pocałunkami, wreszcie i oddechem własnym, aż przyszła do siebie i wyjaśniła mi, że do rzeczki, gdy się kąpała, wskoczył jakiś parobek zgorański.

To ją tak przeraziło okropnie! Z żalem przyniosłem jej porzucone na brzegu ubranie — a potem chciałem ją odprowadzić do domu... ale złe psy Abego nie dały nam zbliżyć się nawet — musiałem więc błądzić z nią noc całą po lesie i znalazłem źródło nieprzebranych skarbów, ukrytych dotąd przedemną.

. . . .

Nie widziałem jej więcej... bo kwiat Ś-tojański raz tylko w życiu posiadać można.

KONIFC.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

ułożył J. Badura.

Z sylab: an, bat, ce, cy, dy, dy, dy, e, graf, hi, hu, i, ja, je, ji, li, li, mi, na ni, o, o, re, ro, siotr. stok, wła, wo, ułożyć 8 wyrazów, w których pierwsze litery od początku, czytane z góry na dół i ostatnie, również z góry na dół czytane, utworzą imię i nazwisko dzielnego szermierza sprawy narodowej na Śląsku pruskim.

Znaczenie wyrazów: 1. Port w Mandżuryi. 2. Stan w Ameryce. 3. Ryba. 4. Pismo. 5. Imię żeńskie. 6. Imię męskie. 7. Bezżenność księży. 8. Wódz węgierski.

Szarada.

Pierwsza, trzecia raz wysoka
Czasem znowu niska bywa;
Druga, trzecia, gdy jest gruba,
Nie tak łatwo się rozrywa.
Całość, choć jej w kalendarzu brak,
Ale kobieta zowie się tak.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy M. Zycha **„Rozdzióbią nas kruki wrony.“**

Rozwiązania z Nru 25.

Rebus: Skąpiec często chowa talary, a jednak bez nich idzie na mary.

Szarady: I. Parasolki. Telimena. — Pistolet.

Arytmogryf: Dwie istoty szczęśliwe, nawet na tym [świecie
Bo zawsze blisko Boga, kobieta i dziecię.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: St. Łaszkiewicz Słotwina, T. Domain Sanok, K. Fuchs Peczeniżyn, M. Arbesbauer Lwów. A. St. Bassara Niwiska, H. Mokrzycka Turbia, K. Chodkiewicz Zbydniów, Fr. Josefert Kraków, M. Rożański Nowy Sącz, ks. J. Markiewicz Kolbuszowa, J. Wieczerzyk, J. Haberman Mikulińce, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Badura Rożdzień Górny Śląsk, A Kotowicz Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał ks. J. Markiewicz w Kolbuszowej. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Apteka Fort. Gralewskiego w Krakowie, ul. Szczepańska 1
poleca następujące wyroby własne:

Petrogen „Jahra“ wyśmienity środek do konserwowania włosów, usuwa łupież i swąd z głowy, wzmacnia cebulki włosowe i zapobiega wypadaniu. — **Cena** flakonu koron 2 i 4.

„Jahra“ Kali chloricum pasta do zębów, wybiela zęby, desinfekcyonuje i konserwuje jamę ustną. Tuba 80 hal.

„Jahra“ Antyseptyczna woda do ust, znakomita woda do utrzymania zdrowych zębów i do płukania ust. Flakon koron 1·20.

„Jahra“ Wata Mentoformolowa wyśmienity środek przy katarach nosa. — Pudełko 40 hal.

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem **za pomocą gorącego powietrza** odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości **po cenach bardzo przystępnych.**

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14 **opłatnie.**

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORDICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Singera maszyny do szycia

znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach

NIEMETZ I SP.

w Krakowie, ul. Szewska 2 (pierwszy dom od Rynku).

Przyjmuje wszelkie naprawy. Ceny niskie.

WĘGIERSKA

RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami itp. b. tanio.**

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych

Haupt A. Rudolf, Budapest VII. Ovodagasse 22.

„FLORA”

PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH

I SZKOŁA KROJU.

KRAKOW, PODWALE 13.

SALON KOSMETYCZNY

PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14

poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są zbadane i polecone przez Dra **Lustra**, specyalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

Wincenty Kucharski

krawiec męski

Kraków Lenartowicza 6.

11 10-30

„ARS“

Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty codziennie w **dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.

Ul. Bracka 5, na parterze.

HOTEL I RESTAURACYA „METROPOLE“

KRAKOW, ULICA ŚW. GERTRUDY L. 28

poleca Szan. P. T. Publiczności bardzo **elegancko urządzona na wzór zagraniczny pokoje od 2 K wyżej. Obsługa szybka.**

Hotel posiada 40 eleg. urządzonych na wzór zagraniczny pokoi od 2 K. Ogród z werandą.



Stacya kolei elektr. Telefon do użytku P. T. Gości. Obok hotelu gł. urząd poczt. i telegr.

Znakomita kuchnia domowa. Potrawy b. smaczne w wielkim wyborze po przystępnych cenach. Piwo pilzneńskie beczkowe. Obsługa szybka i rzetelna.

Z poważaniem S. KUBI'E.

Proszę żądać

darmo i opłatnie mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych



HANNS KONRAD

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKOW

w BRÜX Nr. 786 (Czechy).

Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

Nakładem Wydawnictwa powieści illustr. we Lwowie zaczęła wychodzić nowa senzacyjna powieść, osnuta na tle rewolucyi rosyjskiej pod tytułem:

„OJCIEC GAPON“ bojownik o wolność, czyli: **Straszny zgon w. ks. Sergiusza**

w zeszytach po 10 ct. (20 hal.) Skład główny w księgarni i ajencyi pism **J. Hopoasa** i **A. Salomonowej** w Krakowie Pl. Maryacki, i w kiosku przy ul. Dietla.

Na prowincyę wysyła zeszyt okazowy **bezpłatnie** nakładca **R. Landau, Lwów, Czerneckiego l. 3.**

Panowie i Panie

wszystkich stanów, mogą wszędzie jako dochód uboczny do 300 Kor. miesięcznie zarobić, przez zastępstwa, zajęcie pisarskie, ręczne roboty, wskazywanie adresów i t. p. Bliższa wiadomość pod M. 14 przez firmę: Karol Wörfel, Nürnberg, Austrasse 76.

Oryginalne

SINGERA

Należy uważać na markę fabryczną

THE SINGER MANF'G CO. TRADE MARK

Maszyny do szycia

Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stan Zjednoczone) (otrzymały:)

Oryginalne Singera maszyny do szycia

za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót najwyższe odznaczenia:

Siedm „Grand Prix“

Siedm złotych medali

Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ul. Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: Tarnów: ul. Wałowa 13. Rzeszów: Trzeciego Maja 5. Nowy Sącz: ul. Jagiellońska. Chrzanów: Mickiewicza.

4

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!



Tylko krótki czas!

Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8000 dywanów ścien. i 11.000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

Dywan ścienny

sznelkowy

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki, 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny renie, łabędź, paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **po złr. 2·50** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nie przedostaje.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 70 ct. sztuka

PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY

JULIUS HOITASCH, GODING Nr. 120 (Morawy).

Setki podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie. — — — Nieodpowiednie zostaną bez trudności przyjęte z powrotem pieniądze zwrócone.

Dotychczas niebywałe ceny.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie roku 1901.

Peleryny zakopiańskie i tyrolskie od deszczu i zwykłe damskie i męskie po złr. 7·50. Oraz na składzie wielki wybór **Guniek zakopiańskich** damskich i dziecinnych. **Serdaki** damskie i dziecięce. Sabałówki, Żuawki, Ułanki, Kryniczanki, Sukmanki kościuszkowskie, Karazye, Czapki i Paski krakowskie i Kapelusze góralskie. – Wszystko wyrobu własnego.

Wojciech Sznajdrowicz, Kraków, Rynek Linia A-B 45

nad Apteką pod „Białym orłem“.

Filia w Krynicy pod białą różą.

Filia w Krynicy pod białą różą.

ZAŁOŻONA W R. 1863

PIERWSZA KRAJOWA PAROWA **FARBIARNIA**

i PRALNIA CHEMICZNA

J. LANGIERISKA

(PRZEDTEM MIEDING)

we LWOWIE

czyści chemicznie apretuje i farbuje

wszelkie materye jedwabne i wełniane, nieprute i prute ubiory męskie, suknie damskie i dziecinne, firany oraz futra, pióra strusie itp.

KANTORY PRZYJĘCIA:

LWÓW ul. Jagiellońska 20

Akademicka 26

KRAKÓW plac WW. Świętych 8

STANISŁAWÓW Sobieskiego 13

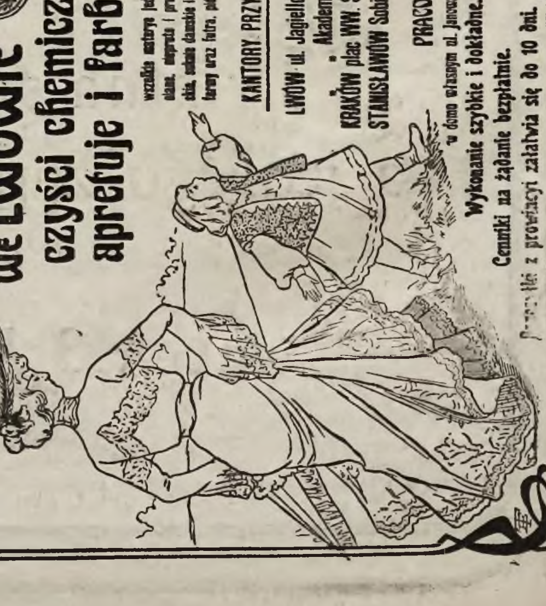
PRACOWNIA

w domu własnym ul. Janowska L. 38 a.

Wykonanie szybkie i dokładne.

Cenniki na żądanie bezpłatnie.

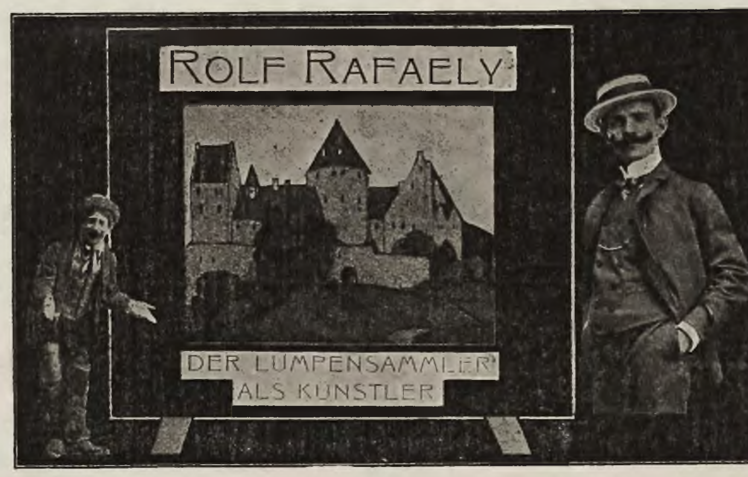
Przesyłki z prowincyi załatwia się do 10 dni.



Z PARKU KRAKOWSKIEGO



EMIL HAUPT
HUMORYSTA.





MR. LIONELLY
NOWOCZESNY MEFISTOFEL.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.